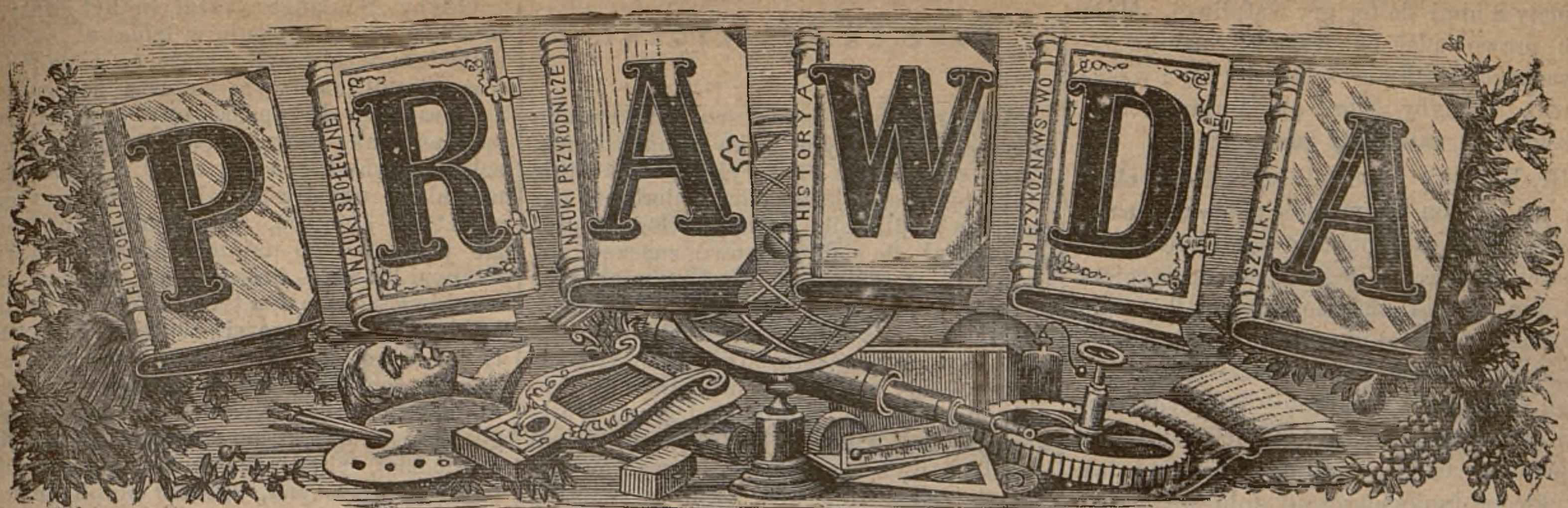
№ 23. Warszawa, dnia 9 Czerwca (28 Maja) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Polityka: Ryzykowne przedsięwzięcie. — Tydzień polityczny. — Kult bohaterów Tomasza Carlyle'a. (Urywki). — *Życie społeczne*: Nowe wybory.— *Badania naukowe*: Filozofia: J. Sergi. Psychologie physiologique p. W. Kozłowskiego. — Historya: B. Limanowski. Historya ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII w. p. K. R. Żywickiego. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska: J. I. Kraszewski, Wincenty Sawczyński, Stanisław Ciszewski p. A. N. — Z Niemiec p. Ladawę. — Literatura ruska: Wsiewołod Garszyn p. Zenona Pietkiewicza. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Drogomira. — Nowe prawo leśne. (Dokończenie). — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

Przypominamy szanownym abonentom nadchodzący termin przedpłaty kwartalnej.

POLITYKA.

RYZYKOWNE PRZEDSIĘWZIĘCIE.

Europa jest dziś wielkim obozem. Jak w każdym obozie, tak i w tym żołnierze uprawiają przedewszystkiem swą sztukę i przygotowują się do wojny; ale podczas przerw w ćwiczeniach szyją sobie koszule, naprawiają buty, grają i śpiewają, a czasem nawet wysyłani są do robót na polu. Nie można więc powiedzieć, ażeby Europa nie pracowała, tylko odbywała musztry i manewry, owszem, wątek rozwoju materyalnego i duchowego ciągle się snuje, choć powoli i wązko — jak w obozach i koszarach. Czego wszakże nie widzimy, to nowych przedsięwzięć rozległych i na dalszą obliczonych metę a służących interesom pokoju. Załatwia się prace drobne, bieżące, żołnierskie. Jedynem przedsięwzięciem tej wielkiej miary jest zapowiedziana na rok przyszły powszechna wystawa w Paryżu. Latarnia morska, stojąca i świecąca śród wzburzonych fal oceanu, nie tworzy ze swem otoczeniem mocniejszego kontrastu, jak ten zamierzony pomnik spokojnej pracy i postępu, wznoszony pod zachmurzonem niebem śród głuchych grzmotów nadchodzącej burzy wojennej. Rzeczywiście trudno wyobrazić sobie bardziej uderzającą sprzeczność. Naokoło długim promieniem zatoczony krąg pogotowia wojennego, w którym słyszymy tylko pompę wysysającą podatki na uzbrojenia, odgłos strzałów próbnych coraz bardziej ulepszonego systemu karabinów, huk bomb napełnianych coraz gwałtowniejszą materyą wybuchową — a śród tych milionowych armij, magazynówek, mitralież, melenitów wznosi się olbrzymia piramida najświetniejszych dorobków pracy ludzkiej, urągająca politycznemu orkanowi. Wspaniałe widowisko.

Zuchwałość tego przedsięwzięcia, wynikająca już z samych warunków zewnętrznych, potęguje się jeszcze bardziej wspomnieniami historycznemi. Wystawę połączono z pamiątką wybuchu Rewolucyi. Pamiątka ta nie może po za granicami Francyi budzić w rządach uczuć życzliwych. Krwawa kąpiel, z której wyszła pierwsza Rzeczpospolita, złagodziła swe barwy w ciągu lat stu, gilotyna tonie w mgle dziejowego oddalenia, obecna córka Rewolucyi otarła ze swej szaty czerwone plamy i zawiązała przyjacielskie stosunki; ale podczas uroczystości zmartwychwstaną te wszystkie wspomnienia bardzo żywo. Francuzi o tem wiedzą, a jednak przygotowują wystawę na przekór niebezpieczeństwom wojennym i wstrętom rządów. Nie jestże to zuchwałość zdumiewająca?

Prawie wszystkie państwa europejskie odmówiły urzędowego udziału na wystawie paryskiej, pozostawiając swobodę uczestnictwa chęciom prywatnym. Uczyniły tak zarówno ze względu na konsekwencyę wobec zasady naczelnej swego ustroju, jak również z powodu niepewności położenia. Pierwsza pobudka jest całkiem zrozumiałą, rozpatrzymy szczegółowiej tylko drugą, ważniejszą.

Nikt nie zaprzeczy, że obecny stan Europy nie karmi wiary w długotrwały pokój, przeciwnie podsyca obawę wojny. Otóż czy Francya jest potęgą zdolną utrzymać ten pokój do pożądanego terminu i odsunąć wojnę chociażby na odległość jednego roku? Bynajmniej. Takiej mocy nie posiada żadne mocarstwo, a tem mniej ona, niegrająca na pierwszych skrzypcach „koncertu" europejskiego. Jeżeli więc nie w prawdopodobieństwie, to w jakiej sile pokłada ona ufność, że przyszłoroczna wystawa odbędzie się bez przeszkód i że jej nie ogarną płomienie wojny? Trudno docieć i pojąć. Jest to raczej upór, śmiałość, czy ryzykowne przeczucie, niż trzeźwa rachuba. Wszystkie bowiem możliwości przemawiają raczej za burzą, niż za pogodą, a Francya wbrew przepowiedniom i groźbom przygotowywa się do dzieła, które nie znosi uraganów.

Każdy też rozsądek w bardzo małym stopniu podziela jej oburzenie na prezesa ministrów węgierskich, który stanowczo odradził wystawcom swego kraju uczestnictwa w wystawie. Tisza przytoczył dwa powody: niepewność stosunków politycznych w Europie i niepewność bezpieczeństwa w Paryżu. Co do ostatniej, niewątpliwie w rozpędzie przejechał granice nietylko taktu dyplomatycznego, ale nawet słuszności. Paryż nawiedzany jest często przez wiatry rewolucyjne, ale twierdzić, że rząd nie zdoła ich opanować w potrzebie, że one rozszalałyby podczas wystawy i że węgrzy nie byliby na niej dostatecznie osłonięci przeciw wybrykom tłumu — jest to malować dyabła na ścianie. Gdy więc francuzi zarzucili Tiszy potwarz i zażądali przez swego ambasadora w Wiedniu wyjaśnień, mieli za sobą racyę i krzywdzący ich minister spełnił obowiązek sprawiedliwości, odwołując lekkomyślne oskarżenie. Ale całkiem inną wagę posiada wzgląd pierwszy, chwiejne lub głęboko naderwane stosunki polityczne. Gdy Tisza o nich wspomniał, mówił szczerze, a doprawdy trudno mu brać za złe, że sam nie wierząc w pokój roku przyszłego, przelewa tę niewiarę w swych ziomków i ostrzega ich przed ryzykownem przedsięwzięciem. Na przygotowania do wystawy francuzi wydali lub wydadzą miliony, które mogą stracić — to ich rzecz; ale niechże nie wymagają, ażeby inne narody

stanęły z nimi do tej gry wątpliwej. Mają one prawo żądać od swego kierownika politycznego możliwie szczerej rady i wskazówki, a gdyby zataił przed nimi niebezpieczeństwo, zawiniłby bardzo ciężko.

Hr. Kalnoky zapewnił posła francuzkiego, że on sam trzyma ster polityki zewnętrznej i z Rzeczpospolitą pragnie żyć w najlepszej zgodzie, że jego towarzysz węgierski nie myślał obrażać przyjaciółki, sam grzesznik, a raczej niegrzecznik dołączył do tego wyjaśnienia plasterek frazeologii kojącej zadaną przezeń ranę — i francuzi zrobili minę zadowoloną. Co ich właściwie uspokoiło? Chyba sami dobrze nie wiedzą. Etykiecie dyplomatycznej stało się zadość, ale fakt pozostał faktem, że węgrzy nie ufają ani francuzom, ani pokojowi w roku przyszłym. Ponieważ zaś stoją oni blizko wulkanu, który ciągle się dymi i musi wybuchnąć, więc swą odmową powinniby nad Sekwaną odegrać rolę barometru. Ks. Bismark, trzymający w swym worku wichry wojenne, musiał zapewne ich szum przepuścić tajemnie w uszy swych austryackich spólników i nie zaręczył im za najbliższą przyszłość, kiedy oni tak stanowczo odradzają swym ziomkom udział w wystawie. To nie jest zwykła intryga przeciw sąsiadce, bo intrygom nie towarzyszy taka ruchliwość w warsztatach wojennych, jaka wre w Austryi. Tisza nie chce jedynie podobać się mistrzowi, gdy mówi do swych rodaków: nie kładźcie kartofli w popiół ogniska francuzkiego, bo w niem leży dynamit, który je rozsadzi i was pokaleczy. Rzeczpospolita nie stanowi potężnej klamry pokoju, która zdołałaby jego ściany utrzymać w spojeniu pomimo wszelkich uderzeń. To też czy wystawa paryska będzie wielkim turniejem pracy, czy też, udaremniona, dobrowolną kontrybucyą Francyi, zapłaconą w stratach — orzec trudno. W każdym razie jest ona zjawiskiem dziwnem i przedsięwzięciem bardzo ryzykownem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jednostajność polityczną urozmaiciło w tygodniu ubiegłym kilka niespodzianek. Przedewszystkiem Fryderyk III tylokrotnie i tak stanowczo skazany na śmierć, że pastorowie modlili się, ażeby go Bóg co prędzej zabrał do siebie, znowu znacznie poprawił się w zdrowiu, a Virchow miał orzec że w jego gardle nie widzi raka, tylko wrzód. Równocześnie z tą poprawą wystąpiła energia i to bardzo sprężysta, bo grożąca wysadzeniem z siodeł wszystkich ministrów a przynajmniej jednego, mocno siedzącego Puttkamera. Jak wiadomo czytelnikom, dzięki gwałtom wywiązanym przez rząd na wyborach, wyszedł z nich sejm w znacznej większości posłuszny ks. Bismarkowi, jego pomocnikom i sługom. Sejm ten, utrwalając swoje istnienie i uwalniając od kłopotów pana, uchwalił, że okresy prawodawcze rozciągać się będą nie na lat trzy, lecz na lat pięć. Prawo to Rada związkowa zatwierdziła, brakło mu tylko do ważności podpisu monarchy. Tymczasem Wilhelm I umarł, a Fryderyk III, widząc w tej zmianie krzywdę konstytucyi a nadto uwiadomiony o nadużyciach przy wyborach, odmówił swego podpisu i polecił Puttkamerowi wytłomaczyć się z postępowania władz. Taka energia zdumiała wszystkich. Za poprzedniego monarchy wola i czyny kanclerza oraz jego szwagra nie ulegały żadnemu ograniczeniu. Z początku prasa gadzinowa, warcząc półgębkiem, napomknęła, o ustąpieniu wszystkich ministrów, ale gdy u góry dostrzeżono stanowczość, zaczął się odwrót pogróżek. Teraz najmici dziennikarscy nie tają, że wstrzymanie prawomocności okresów ustawodawczych rani im serca, ale wyrażają zadowolenie z tego, że uszanowana wola monarchy zadała kłam pogłoskom, mianującym go ofiarą nacisku ministrów. Jest to radość bardzo wykształcona. Natomiast szczerze wzruszyła ona ludzi uczciwych, a zwłaszcza wolnomyślnych. Od lat wielu konstytucya niemiecka była niemiłosiernie obcinaną, wybory sejmowe stały się komedyą, rząd nie przebierał w środkach gwałtu i bezwstydu. Fryderyk III, zgorszony temi nadużyciami, postanowił je zahamować a ostrze swego oporu zwrócił bezpośrednio przeciwko Puttkamerowi, głównemu winowajcy. Jaki ta sprawa obrót przybierze — nie odgadujemy, ale przyznajemy, że podjęcie to jest jednym z najpiękniejszych czynów obywatelskich cesarza Niemiec.

Gdyby Boulanger kazał się był zważyć przed i po wystąpieniu w Izbie z „mową dziewiczą,“ zobaczyłby może, że wiele funtów stracił na swym ciężarze fizycznym i moralnym. Przypuszczamy bowiem, że sponiewierany przy pierwszym popisie poselskim schudł, że zaś opadł w opinii, to nie ulega wątpliwości. Nie pokonano go aresztem, dymisyą, artykułami, mowami, ale pokonano go najniebezpieczniejszą we Francyi bronią— śmiesznością. Zawiódł on oczekiwania zarówno tych, którzy go czcili, jak i tych, którzy go się obawiali. Zuchwały ten człowiek stanął na trybunie jak bakalarz, zaczął czytać swą mowę śród piekielnego chóru szyderstw i urągań, żadnego ciosu nie odparł, na żaden zarzut nie odpowiedział, tylko jednostajnym głosem, jak nakręcona maszyna, znosząc cierpliwie docinki, drwiny i wymysły, odbąkał cóś, co tu i owdzie nadymało się śmiałym frazesem, ale nie miało w całości ani kleju, ani sensu. Zekpił dotychczasowy rząd i przedstawicieli narodu, zażądał rewizyi konstytucyi, ale oświadczył, że senat powinien być zniesionym, że godność prezydenta jest niepotrzebną, że ministrowie powinni być odpowiedzialni tylko przed głową państwa, nie umiejąc, czy nie mając odwagi powiedzieć, jaką ma być ta głowa. Słowem, rzucił garść frazesów niepowiązanych w żaden plan myślą przewodnią. To też wychłostano go i wyszarpano za uszy, jak żaka. Lekceważenie doszło do tego stopnia, że prezes wzgardliwie zauważył: „zdaje mi się, że dogadzam uczuciom Izby nie karcąc słów obelżywych, które z *takich* ust wyszły.“ Floquet odpowiedział małpie Napoleona I krótko, ale jędrnie i tak dzielnie, że Izba poleciła mowę jego rozlepić w odbitce po gminach. Naturalnie wniosek Boulangera, żądający uchwalenia nagłości rewizyi konstytucyi upadł. Groźny dyktator, wróciwszy do domu, mógł sobie powiedzieć: „przyszedłem, zobaczyłem,“ ale: „zwyciężyłem“ — nie wyszeptał w najskrytszych tajnikach swej duszy a raczej zatrwożył się, czy jego gwiazda nie gaśnie.

Dzięki poparciu Koła polskiego, na którego piersiach mężnych zawisły dwa cenne ordery, podatek wódczany został przyjęty przez Radę państwa w Wiedniu. Galicya tedy gotuje się do złożenia ofiary na ołtarzu patryotyzmu austryackiego, wynoszącej kilkanaście milionów złr. Taka jest ostatnia „łaska ojcowskiego rządu.“

Parlament angielski wyznaczył 2,600,000 f. szt. na uzbrojenie portów i stacyj węglowych.

KULT BOHATERÓW

Tomasza Carlyle'a.

(URYWKI) *).

Według mnie, Historya powszechna, Historya tego, co człowiek na świecie zdziałał — jest w gruncie rzeczy Historyą Wielkich Ludzi, którzy na nim mozolili się. Ci Wielcy Ludzie byli przewodnikami ludzkości, jej wzorami i opiekunami, i w szerokiem znaczeniu tego wyrazu twórcami wszystkiego, co ogółowi społeczeństwa udało się zrobić lub osiągnąć; wszystko, co widzimy spełnionem na świecie — to właściwie nic innego, jak rezultat materyalny, zewnętrzny, ziszczenie praktyczne i wcielenie Myśli, które mieszkały w Wielkich Ludziach, zesłanych na ziemię: dusza dziejów całego świata — można to z całą słusznością przypuścić — byłaby więc tylko ich duszą.

Jedna zostaje pociecha: że Wielcy Ludzie, w jakikolwiek sposób będziemy ich pojmowali, stanowią towarzystwo bardzo pouczające. Niepodobna zajmować się, choćby niedoskonale, wielkim człowiekiem, bez osiągnięcia jakiejkolwiek korzyści. Jest to żyjąca fontanna światła, obok której dobrze i przyjemnie znajdować się. Światło owo rozprasza i rozpraszało ciemności świata; i to nie jak lampa zwyczajnie zapalona, ale raczej jak naturalny świecznik, płonący darem Niebios; jak powiedziałem — fontanna światła, wrodzonej i oryginalnej intuicyi, heroicznej żywotności i szlachetności— fontanna, w płomieniach której wszystkie dusze czują się szczęśliwemi. Jakiekolwiek byłyby warunki, nie pożałujecie nigdy, żeście błądzili powień czas w takiem sąsiedztwie.

Przypominacie sobie pewnie ową fikcyę Platona, jedną z wielu, o człowieku, który aż do lat dojrzałych rósł w mrocznej jakiejś głębinie a potem nagle wydobyty z niej został na światło dzienne, by się mógł przyjrzeć wschodowi słońca. Jakież musiało być jego zdumienie, podziw i zachwyt, wobec widoku, któremu my obojętnie przypatrujemy się codziennie! Z tymi otwartymi i swobodnymi zmysłami dziecka, obok dojrzałej zdolności męża, serce jego musiało się czuć całe rozpłomienione tem widowiskiem; rozeznawał pewnie jego naturę boską, a dusza pełna uwielbienia, korzyła się przed niem. Owóż takie samo pewno poczucie wielkości nawskróś dziecinne było właściwe narodom pierwotnym. Pierwszy Myśliciel Poganin śród ludzi surowych, pierwszy człowiek, co zaczął myśleć, był właśnie tym człowiekiem — dzieckiem Platona. Prosty, otwarty jak dziecię, a jednak pełen głębokości i siły mężczyzny. Przyroda nie miała jeszcze dlań żadnego imienia; nie połączył był jeszcze w jednej nazwie nieskończonej rozmaitości widoków, dźwięków, kształtów i ruchów, które my nazywamy zbiorowo Wszechświatem, Naturą lub innem podobnem imieniem i od której jednem terminem uwalniamy się. Dla dzikiego, z sercem głębokiem człowieka, wszystko było jeszcze nowem, nie osłonionem nazwami lub formułami. Wszystko przedstawiało się nago, pełne świetności i ognia, piękne, straszne i niewypowiedziane. Natura była dla tego człowieka, czem pozostanie na za-

*) Dziwactwa stylu i pisowni Carlyle'a zostawiliśmy umyślnie; można go tylko albo *przerabiać*, albo tłomaczyć *dosłownie* — wybraliśmy to ostatnie. Zaznaczyć przytem należy, iż dość dziwnym objawem jest obojętność naszej literatury dla Carlyle'a, pisarza świetnego i — deisty, a więc posiadającego dwa warunki, które go polecają do przekładu naszym wydawcom. (*Przyp. tłom.*)

Papież przesłał swoją „vanam iram sine viribus“ na nowy kodeks karny włoski, który jest tylo niegodziwym i bezczelnym, że — pociąga księży do odpowiedzialności i kar za — przestępstwa i zbrodnie. Czy to kto słyszał taki popełniać „gwałt na sumieniach duchowieństwa!“ Okropne dzieją się rzeczy: ksiądz ma stawać przed sądem i siedzieć w kozie za to, że buntuje lud przeciwko państwu!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NOWE WYBORY.

W tych dniach skończą się wybory do władz Towarzystwa Kredytowego ziemskiego. Wyjdą z nich — jak widać — przeważnie delegaci dotychczasowi. Drobna przymieszka żywiołów nowych, a raczej młodszych nie wprowadzi do żył tego ciała krwi świeżej, gdyż w ogrodzie szlacheckim zwykle niedaleko pada jabłko od jabłoni. Można więc przypuścić, że skład Towarzystwa, jego siły umysłowe pozostaną te same.

Ale jakże wiele koło niego w ostatnich latach się zmieniło! Szlachta zeszła o kilka stopni niżej po pochyłości materyalnej i moralnej, wystąpiły w niej groźne objawy matactw, podkopujących grunt bezpieczeństwa udzielanych pożyczek, zagrożeni utratą majątków wytworzyli i rozwijają system gospodarstwa ratunkowego, powstał Bank włościański, a teraz wyszło prawo, ograniczające sprzedaż lasów, które wywrze bardzo głęboki wpływ na środki walki o byt własności większej. Wszystko to są czynniki pierwszorzędnego znaczenia, z którymi policzyć się trzeba. Dalecy jesteśmy od zamiaru narzucania jakiejkolwiek instytucyi zadań z jej przeznaczeniem i ustrojem niezgodnych i paraliżujących jej działalność właściwą; ale z drugiej strony uznajemy, że pewne dodatkowe obowiązki na każdą włożyć trzeba, jako ofiarę spłacaną warunkom miejscowym. Towarzystwo Kredytowe ziemskie w ścisłem znaczeniu jest bankiem rolnym, nigdy ono wszakże tylko bankiem nie było i nie będzie. Po za szacowaniem dóbr, udzielaniem pożyczek i wydawaniem Listów Zastawnych, zawsze czuwało nad dobrobytem swych stowarzyszonych i pośrednio starało się oddziaływać na nich moralnie. Była to instytucya zarówno pieniężna i obywatelska. Otóż w jej państwie za lat ostatnich wiele się popsuło. Posiadacz większej własności zszedł do kategoryi bardzo wątpliwych dłużników, gdyż nietylko majątkiem swym ekonomicznie zarządzać nie umie, ale przewidując utratę warsztatu swej pracy, niszczy go grabieżą tak, że nawet nieraz zachwieje bezpieczeństwem pożyczek Towarzystwa. Na tym wypadku cierpi wytwórczość rolno-przemysłowa kraju, cierpi moralność społeczna. Nowa ustawa leśna, pozbawiająca ziemian ważnego źródła dochodu a często jedynego środka ratunku, utrudni im walkę o byt. Ów więc proces rozkładowy w tej sferze posunie się dalej. Zatamować go materyalnie przez okazanie skuteczniejszej pomocy rolnictwu i moralnie przez wpływy drogą narad i stosunków — jest powinnością Towarzystwa. Jeżeli z jego celami mogła była kiedyś związać się myśl badań geologicznych, to doprawdy troskliwsze zaopiekowanie się kieszenią i sumieniem swych stowarzyszonych nie leży od przeznaczeń dalej. Ale na dźwignięcie tego brzemienia potrzeba nietylko dobrej woli, lecz także rozumu i energii. Na żadną klasę naszego społeczeństwa nie rzucamy klątew nienawiści, bo klątwy takie nawet wtedy, gdy nie są szkodliwe, są śmieszne; więc radzibyśmy, ażeby i ta warstwa mogła działać na korzyść kraju, chociaż nie mamy co do niej złudzeń i zbyt mocnej wiary. Świeże pierwiastki, które z obecnych wyborów weszły do Towarzystwa, nie zdobędą się na żaden pomysł śmiały; ale są to ludzie nowi, po części młodzi, którzy czują gorączkę czynu, może więc oni wniosą przynajmniej pobudkę do ruchliwszego działania. Bodajby... Jeżeli zaś wszystko ma zostać, jak było, tylko się ku starości pochylić, to doprawdy nie pojmujemy, co znaczy żywe zajęcie się urną wyborczą Towarzystwa, co znaczą szczegółowe telegramy do gazet o powołanych radcach, co znaczy gwar sejmikowy. Przecież zapewne nie o to chodzi, czy zamiast p. Powolnickiego z Żółwina jeździć będzie do dyrekcyi p. Spieszyński z Rozpędówki; ale o jakieś zasady, idee, prace. Gdyby szło wyłącznie o dostojeństwo, możemy nie trudzić telegrafu i uwagi publicznej, którąby z większą słusznością zwrócić się powinna do wyborów sądownictwa i administracyi gmin.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

J. Sergi. *Psychologie physiologique*, trad. de l'italien Paris, 1888.

Przed paru laty *Prawda* zamieściła była krótką wzmiankę o dziele Sergiego, wydanem po włosku. Obecnie wyszło ono w tłomaczeniu francuskiem, poprawione i uzupełnione przez samego autora. Tłomaczenie to uważa autor za drugie wydanie swej pracy. Ponieważ psychologia Sergiego, jako dzieło popularne, jest najlepszą z istniejących w tym rodzaju — jedyną, która w sposób przystępny i dokładny obznajmia z najnowszemi badaniami tak z zakresu psychofizyki, jako też właściwej psychologii; sądzę przeto, że nie będzie rzeczą zbyteczną, gdy raz jeszcze zwrócimy na nią uwagę czytelników, jako na książkę, która może im oddać ogromną przysługę, wtajemniczając we wszystkie zagadnienia badań psychologicznych.

Tłomaczenie wyszło pod zmienionym tytułem. Zamiast psychologii wogóle, otrzymało ono nagłówek: „Psychologii fizyologicznej.“ Zmiana ta nie zupełnie jest właściwą. Chociaż bowiem badania psychofizyczne wysunięte są w niej na pierwszy plan, jako naturalna podstawa analizy podmiotowej, przecież i ta ostatnia niepoślednie zajmuje w niem miejsce. Badania zjawisk psychicznych przedmiotowe i podmiotowe uzupełniają się tu wzajemnie i przedstawiają organiczną całość życia umysłowego. Jeżeli z jednej strony można je uważać za streszczenie dzieła Wundta: *Psychologia fizyologiczna*, to z drugiej — jest ono także dokładnem zsumowaniem ostatecznych wypracowań psychologii angielskiej.

W każdym razie autor nie okazuje się tu prostym sprawozdawcą. Korzystając z gotowego materyału, uporządkowywa go w sposób sobie właściwy i w wyjaśnianiu faktów nie trzyma się ślepo panujących teoryj i poglądów, ale zachowuje się względem nich krytycznie. Teorya rozwojowa i — co za tem idzie — mechaniczny sposób tłomaczenia zjawisk umysłowych jest dla niego jedynem stanowiskiem, z którego zapatruje się na wszystkie zagadnienia psychologiczne i z którego też ocenia wartość wszystkich hipotez i teoryj, mających na celu rozwiązanie owych zagadnień. Sam też występuje z własnemi twierdzeniami tam

---

wsze dla Myśliciela i Proroka — nadnaturalną. Ta ziemia skalista, zielona i kwieciem usiana, drzewa, góry, rzeki, morze, rozbrzmiewające tysiącem głosów; to wielkie, głębokie morze błękitu, które płynie po nad naszemi głowami, zamiatane przez wichry; chmura czarna, co sklębia się i kształty przybiera, i bądź zieje ogniem, bądź sypie gradem lub zlewa deszczem, czem to wszystko *jest*? Tak—czem jest? W gruncie rzeczy, my tego wszystkiego nie znamy jeszcze, i nigdy nie zdołamy poznać całkowicie. Wymijamy trudności nie dlatego, byśmy mieli wyższą intuicyę, lecz że posiadamy wyższą płochość; działa tu nasza nieuwaga, nasz *brak* intuicyi. Jeśli przestajemy im się dziwić, to wskutek *nie*-myślenia. Twardnieje dokoła nas i więzi całkowicie wszelkie pojęcie, jakie sobie tworzymy — żółwia skorupa tradycyi, zachwyconych gdzieś uchem pogłosek i gołych słów. Nazywamy ogień ten, wyskakujący z czarnej chmury gromowej, „elektrycznością“ i piszemy o niej uczone wykłady i coś podobnego do niej wydobywamy tarciem ze szkła i jedwabiu: ale *co to* jest takiego? Kto ją stworzył? Skąd się ona bierze? Dokąd zmierza? Wiedza uczyniła dla nas wiele: ale jakże ubogą jest wiedza, która pragnęłaby ukryć przed nami wielką, głęboką, świętą nieskończoność Nie-wiedzy, której nie potrafimy przeniknąć nigdy, nad którą wszelka umiejętność kołysze się, niby zwyczajna błonka zwierzchnia. Świat ten, przy całej naszej wiedzy, i przy wszystkich wiedzach jest jeszcze cudem; jest pełen dziwów tajemnych, niedocieczony, *magiczny*, nawet więcej — dla każdego, kto zechce o nim *myśleć*.

A owa wielka tajemnica CZASU! Istota nieograniczona, milcząca, nie zatrzymująca się nigdy, nazywana Czasem, tocząca się i rzucająca, chyża, milcząca jak przypływ i odpływ oceanu, co obejmuje wszystko, nad którym my i cały Wszechświat unosimy się nakształt wyziewów, nakształt widziadeł, które *są* a potem *przestają być*: oto cud na zawsze i jak najliteralniejszy; oto rzecz, która nas przyprawia o niemotę — albowiem nawet słówka jednego nie możemy o niej powiedzieć! Ten świat, niestety! cóż mogli o nim wiedzieć ludzie dzicy? cóż możemy o nim wiedzieć jeszcze my? Że jest Siłą, i gmatwaniną Siły z tysiącami tajników, Siłą, która *nie jest nami*. Oto wszystko; nie jest ona nami, jest czemś zupełnie różnem od *nas*. Siła, Siła, wszędzie Siła; a my sami w ognisku jej—Siłą tajemniczą. „Niemasz liścia gnijącego na gościńcu, któryby nie miał w sobie Siły: jakże bowiem inaczej mógłby gnić?“ Tak, zaiste, dla Myśliciela Ateusza, jeśli Myśliciel taki jest możebnym — musi być również koniecznie cudem ten olbrzymi i bezbrzeżny odmęt Siły, który nas zewsząd opływa; odmęt, nie zatrzymujący się nigdy, wysoki jak Niezmierzoność, stary jak Wiekuistość. Czemże on jest? Tworem Boga — odpowiada religijny lud; tworem Wszechpotężnego Boga! Gadatliwa nauka paple o nim mizernie i szafuje uczonemi nomenklaturami, doświadczeniami i czem tam jeszcze, jak gdyby to była jakaś martwa lichota, stworzona na to, by ją zabutelkowywać w bańce lejdeńskiej lub sprzedawać na kontuarach. Ale naturalny, zdrowy rozsądek człowieka, po wszystkie czasy, jeżeli go tylko sumiennie stosować, woła, że to jest rzecz żywa—ah! rzecz niewysłowiona, boska, wobec której najlepszą postawą, jaką przybrać możemy, posiadłszy całą wiedzę świata, jest pełna czci zgroza, pobożne korzenie się w prochu i uniżoność ducha; wielbienie jeśli nie słowem, to milczeniem.

A teraz, jeżeli wszystkie przedmioty, na jakie tylko pada wzrok nasz, są emblematami Najwyższego Boga, dodam, że więcej niż którykolwiek z nich takim emblematem jest człowiek. Słyszeliście zapewne owo

gdzie istniejące zdają mu się nie odpowiadać wymaganiom naukowej ścisłości.

Wogóle dzieło Sergiego jest na wskróś oryginalne i ma charakter więcej krytyczny, niż dogmatyczny, jakkolwiek nie w tym stopniu, ażeby zatracało cechę popularności. Przeznaczone dla szerszego koła czytelników, nie wykracza nigdy z właściwych granic i najtrudniejsze zagadnienia przedstawia w sposób jasny i przystępny dla każdego. Mając za główne zadanie zapoznać czytelnika z najważniejszymi wypadkami badań psychologicznych i tem samem przygotować go do czytania prac ściśle naukowych — pomija ono to, co dopiero w dalszym ciągu studyów może być należycie zrozumianem i ogranicza się do rzeczy niezbędnych, takich, które mogą dać dokładne pojęcie o naturze zjawisk psychicznych i o prawach niemi rządzących.

Książka, obejmująca 450 str. druku, podzielona jest na pięć części. W pierwszej wyjaśnia autor swe stanowisko i rozbiera wrażenia zmysłowe; druga poświęcona jest morfologii i fizyologii układu nerwowego; trzecia zajmuje się naturą świadomości wogóle, tudzież prawami, jakim podlegają jej formy, trwałością czynności psychicznych i znaczeniem tak zwanych spraw bezwiednych. W czwartej części podana jest nauka o uczuciach: w niej korzystał autor z najnowszych badań i rozwinął ją w całej pełni, o ile na to zakres dzieła pozwalał. Przedmiotem części piątej jest teorya woli.

Nie będę tu wdawał się w szczegóły, zaznaczę te tylko punkty, w których S. różni się od przyjętych powszechnie poglądów. Ogólnem bowiem stanowiskiem, z jakiego zapatruje się na zjawiska umysłowe i na rządzące niemi prawa, jest czysto Spencerowskie. Sprawy umysłowe są dla niego odwrotną stroną fizyologicznych i różnią się od nich tem, że są świadomemi. Czynności nieświadome, bezwiedne, są uorganizowanemi, a więc fizyologicznemi. Co się tyczy samej świadomości, to rozumie on przez nią nic innego, jak własność pewnych procesów życiowych, zależną od warunków, dających się ściśle oznaczyć i od czynności, którym towarzyszy, nieoddzielną. Świadomości, któraby istniała w oderwaniu od zjawisk psychicznych, jako pole, na którem odbywałyby się działania umysłowe, albo jako mistyczna potęga, będąca źródłem wszelkiego życia umysłowego — takiej świadomości autor nie uznaje.

Do najoryginalniejszych pomysłów należy bezwątpienia jego teorya postrzegania. Wyłożył on ją w osobnem dziele — tu zaś kreśli tylko w najogólniejszych zarysach. Psychologia odróżnia postrzeżenie od wrażeń zmysłowych. Różnica ta polega na tem, że postrzeżenie jest umiejscowieniem, uprzedmiotowaniem wrażeń. Stanowi ono pierwszy, podstawowy akt życia umysłowego i dokonywa się drogą wnioskowania, opierającego się na doświadczeniu indywidualnem. Z takiem pojmowaniem rzeczy autor nie zgadza się. Utrzymuje on, że między wrażeniem a postrzeżeniem nie ma żadnej różnicy, że każde wrażenie jest już do pewnego stopnia postrzeżeniem. W każdem wrażeniu są dwie strony: przedmiotowa, przedstawialna i podmiotowa, uczuciowa. Zostają one do siebie w odwrotnym stosunku. Im wrażenie jest bardziej przedmiotowem, jak np. wzrokowe, tem jego strona uczuciowa jest słabszą — i odwrotnie, wrażenia, które są najwięcej podmiotowemi, uczuciowemi, np. organiczne, są najmniej przedmiotowemi. Dwie te strony wrażeń w pierwszej dobie życia są najściślej z sobą zespolone. Wrażenia mają wtedy charakter nieokreślony, nie są niczem więcej, jak pewnym stanem świadomości bez żadnego stosunku do świata zewnętrznego i do jaźni. Dopiero w miarę doświadczenia zachodzi w nich rozdwojenie, strona przedmiotowa oddziela się, wyosabnia od podmiotowej. Umysł dziecka zaczyna swe wrażenia wynosić po za siebie, umiejscowiać je bądź na obwodzie swego ciała, bądź zewnątrz niego — w przedmiotach zewnętrznych. To umiejscowianie i uprzedmiotowywanie wrażeń, stanowiące właściwie istotę postrzeżenia, dokonywa się nie mocą świadomego wnioskowania, ale bezwiednie, drogą procesu czysto fizyologicznego.

Wiadomo, że wrażenie polega na tem, iż bodziec zewnętrzny, działając na narząd zmysłowy, wywołuje w nim ruch cząsteczkowy, który udziela się nerwom czuciowym, a za ich pośrednictwem ośrodkom nerwowym. Wyzwolona energia w ośrodkach stanowi podstawę wszelkiego wrażenia. Jest ono więc zjawiskiem czysto wewnętrznem, podmiotowem. Ażeby mogło stać się zewnętrznem, przedmiotowem, potrzeba na to procesu nerwowego, któryby był analogicznym, ale zarazem i odwrotnym względem pierwszego. Jest nim mianowicie odwrót fali nerwowej. Fale ruchu nerwowego, doszedłszy od obwodu do ośrodków, odbijają się i powracają tą samą drogą do miejsca, w którem zostały wywołane. Jakoż w rzeczy samej proces nerwowy nie ustaje z chwilą powstania zjawiska psychicznego, ale trwa czas pewien nietylko w ośrodku nerwowym, ale i na obwodzie, w podrażnionym narządzie zmysłowym. W pierwszej dobie życia proces ten odczuwa się bez różnicy, jakoześrodkowany w mózgu i wrażenia wtedy mają charakter przeważnie uczuciowy, są bądź przykre, bądź przyjemne; cechy przedmiotowej, nadającej im znaczenie postrzeżenia, nabierają one dopiero później, w miarę, jak się wytwarza powrotna fala ruchu nerwowego.

Niepodobna nie przyznać, że teorya ta jest dowcipna i dość trafnie tłomaczy umiejscowianie wrażeń na obwodzie ciała. Czy z równą dokładnością objaśnia uprzedmiotowywanie wrażeń, przenoszenie ich na zewnątrz? O tem pozwalam sobie wątpić. Zdaje mi się, że w tym wypadku koniecznem jest wnioskowanie. Wnioskowanie to naturalnie przy pomocy powyższego procesu, umiejscowiającego wrażenia na obwodzie ciała, znacznie jest ułatwionem i bez niego bodaj czy byłoby podobnem; niemniej jednakże jest ono niezbędnem dlatego, ażeby np. wrażenie światła mogło dziecko odnieść do lampy, stojącej od niego w pewnem oddaleniu.

Bądź co bądź, zachodzi tu pytanie: czy teorya autora opiera się na fakcie rzeczywistym? Czy istnienie fali powrotnej w nerwach czuciowych da się wykazać doświadczalnie, a przynajmniej czy do jej przyjęcia upoważniają nas fakty, w sposób pośredni, uboczny, dowodzące jej bytu? Autor przyznaje, że teorya jego, jak dotąd, może na swą obronę odwołać się tylko do dowodów pośrednich. Najważniejszymi z nich są: gdy chcemy wyobrazić sobie część ciała naszego, którą już znamy, czujemy ją, nie jak gdyby działał na nią bodziec zewnętrzny, ale tak, jak gdyby pobudzenie z naszego wnętrza przenikało do niej, do jej obwodu; w ten sposób, pomimo, że wyobrażona przez nas owa część ciała nie podlega działaniu bodźca zewnętrznego, odczuwamy przecież w niej tylko jej powierzchnię, tę samą, którą czujemy w każdem innem doświadczeniu. Drugim faktem, stwierdzającym wywód powyższy, jest doświadczenie, jakiego nam dostarczają ludzie, którzy stracili nogę. W pewnych chwilach czują oni ją i skarżą się na bóle w tej części ciała, której od dawna już nie mają. Działa tu właśnie pobudzenie nerwu uciętego, dochodzące do ośrodków mózgowych i od nich powracające do obwodu, ale nie do obwodu rzeczywistego, tylko do tego, o którem wie się z doświadczenia, że w nim powstają prądy nerwowe.

Za pomocą powyższej teoryi wyjaśnia także autor powstanie pojęcia przestrzeni. Psychologia angielska w podstawie tego pojęcia upatruje dwa pierwiastki: ruch mię-

---

sławne zdanie Ś-go Chryzostoma, wyrzeczone o Shekinah, czyli Arce Świadectwa, widomem Objawieniu Boga u Hebrejczyków; Prawdziwa Shekinah — to Człowiek! Tak, tak jest w rzeczy samej: i to nie żaden pusty frazes, ale istotna prawda. Rdzeń naszego jestestwa, wewnętrzna w nas tajemnica, którą nazywamy swojem „Ja"— ah! jakież wyrazy mamy dla oznaczenia tych rzeczy? — to nic innego, jak tchnienie Boga; Istność Najwyższa objawia się w człowieku. To ciało, te zdolności, to życie, któremi żyjemy, wszystko to ażaliż nie jest jakoby szatą tego Nienazwanego? „Jest tylko jedna na świecie świątynia, powiedział pobożny Novalis, a tą Ciało Człowieka. Nic nie ma świętszego nad tę wzniosłą formę. Ugiąć się przed ludzkością — jest to złożyć hołd temu Objawieniu w Ciele. Dotykamy Nieba, gdy kładziemy rękę na ciele ludzkiem!" Brzmi to jak pospolita fanfara retoryki — ale bynajmniej tak nie jest. Pomyśleć tylko dobrze o tem, a okaże się ono faktem naukowym, sformułowanym, jak się dało, wyrazem ostatecznej prawdy wszechrzeczy. *My* to jesteśmy cudem cudów— wielką i niezbadaną tajemnicą Boga. Nie możemy tego pojąć, nie wiemy, jak o tem mówić; ale możemy, jeśli się nam podoba, czuć i wiedzieć, że tak jest w rzeczy samej.

Otóż te prawdy były niegdyś daleko snadniej odczuwane, niż dzisiaj. Młode pokolenia świata, które miały w sobie świeżość dziecięctwa, a jednak i głębię ludzi poważnych, które nie łudziły się wcale, że nadawszy miana naukowe Niebiosom i Ziemi, skończyły na zawsze z tem, co się na nich dzieje, lecz umiały tylko spoglądać ku nim zwyczajnie, ze strachem i zdumieniem: one czuły lepiej, ile jest boskości w człowieku i w Naturze; one umiały, dalekie od bezrozumu, *wielbić* Naturę, a człowieka więcej jeszcze, niż wszystko w Naturze. Wielbić jest to, jakem powiedział wyżej, podziwiać bez granic; oto co mogły one czynić w pełni korzystania ze swych władz i w całej prostocie serca. Uważam, że kult Bohaterów jest wielkim przekształcicielem w tym starodawnym systemie myślenia. W tem, co nazwałem poplątanym kłębem kiełkującego Pogaństwa, kłębem, można rzec, o wielu korzeniach: wszelki podziw, cześć dla gwiazdy lub jakiego innego przedmiotu natury, były jednym korzeniem lub włóknem korzenia; ale kult Bohaterów jest najgłębszym korzeniem z wszystkich, korzeniem głównym, z którego dopiero wszystkie inne powinny ciągnąć soki i moc porostu.

A teraz, jeżeli cześć dla gwiazdy miała w sobie jakieś znaczenie, o ileż więcej mógł go mieć kult Bohatera! Uwielbienie dla Bohatera, to transcendentalny podziw dla Wielkiego Człowieka. Twierdzę, że wielcy ludzie mogą jeszcze wzbudzać podziw, twierdzę, że w gruncie rzeczy nic prócz nich nie jest godnem podziwu! Niema w piersi ludzkiej uczucia podnioślejszego nad uczucie uwielbienia dla kogoś, co jest wyższym. Jest to do tej pory i po wszystkie czasy orzeźwiający dla życia ludzkiego wpływ. Znajduję, że na tem właśnie opiera się religia; nietylko Pogaństwo, ale o wiele wyższe i prawdziwsze religie, wszelkie religie, jakie mamy dotąd. Kult Bohaterów, podziw uczuwany w sercu i bijący czołem, gorąca, bez granic, korność przed wysoce szlachetną i boską Formą Człowieka— czyż to nie jest jądrem samego Chrystyanizmu? Największym ze wszystkich Bohaterów jest Ktoś— kogo nie wymienimy tutaj! Niechaj święto milczenie rozpamiętywa tę świętą materyę; poczytacie ją za najwyższą doskonałość zasady, istniejącej wszędzie, w całej historyi człowieka na ziemi.

—

Dla mnie to wielka pociecha wiedzieć, że żadna logika sceptyczna lub ogólnikowa trywialność, nieszczerość i suchość jakiejbądź Epoki wraz z jej prądami nie są w sta-

śniowy i wrażenia dotyku. Psychologia niemiecka wprowadza trzeci pierwiastek, uzupełniający, a mianowicie barwę miejscową wrażeń dotykowych i wzrokowych. Pierwiastek ten uważa ona nawet za główny, jedyny, który może nadać właściwe znaczenie dwom poprzedzającym. Ani ruch mięśniowy, ani wrażenia dotyku same przez się niezdolne są wytworzyć w nas pojęcia przestrzeni, gdyż w nich nie masz nic przestrzeniowego. Mogą one do tego pojęcia doprowadzić tylko przy pomocy miejscowej barwy, właściwej wszystkim wogóle nerwom, a szczególniej nerwom dotykowym i wzrokowym. Barwa ta stanowi osobliwą własność nerwów. Słuszną robi S. uwagę, że to nie zgadza się z zasadami fizyologii współczesnej, która stanowczo zarzuciła teoryę specyficznych własności nerwów. Umiejscowianie wrażeń, podług autora, dokonywa się nie na podstawie miejscowej barwy nerwów dotykowych i wzrokowych, gdyż przyjąć jej niepodobna, skoro się odrzuca nawpół mistyczną teoryę specyficznych własności nerwów, obaloną ostatecznie przez Lewesa i Wundta; ale dzięki fali powrotnej nerwów czuciowych. Fala ta, powracając tą samą drogą, którą przybyła do mózgu, do miejsca swego powstania na obwodzie — przez to samo umiejscawia wrażenie, przenosząc je niejako z ośrodka mózgowego na powierzchnię ciała, a nawet na zewnątrz niego, jak to się dzieje z wrażeniami wzroku i słuchu.

(D. n.).

W. Kozłowski.

HISTORYA.

B. Limanowski. *Historya ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII w.*

Pracę swoją p. Limanowski poświęcił zobrazowaniu jednej z ciekawych bezwarunkowo epok dziejowych nowożytnej cywilizacyi. W łonie społeczności zachodnich z końca XVII i z XVIII w. wywiązują się nowe siły wytwórcze, które zastępują zawodową pracę rzemieślniczą przez maszyny i pracę niezawodową, warsztaty cechowe z hierarchią majstrowsko-czeladniczą przez fabryki, gromadzące obok siebie kilka fachów, produkcyę w drobnych rozmiarach na obstalunek przez masową, nieczekającą zamówień, wreszcie ustrój cechowy przez wolną konkurencyę. Atoli istniejąca ustawa społeczna uwzględnia tylko wymagania dotychczasowych sposobów produkcyi i swemi urządzeniami prawnemi na każdym kroku stawia zawady rozwojowi nowych potęg wytwórczych i warstwy, która je reprezentuje. Na takiej-to podwalinie materyalnej wyrastają emancypacyjne i krytyczne hasła społeczne XVIII w., nabierające siły w miarę rozwielmożniania się stosowanego podściełiska rzeczowego i przechodzenia środka ciężkości ekonomicznej na odpowiednią grupę społeczną — stan trzeci, aż wreszcie póki z ust Siéyesa nie wyjdą pytania: „czem jest stan trzeci? — niczem; czem winien być? — wszystkiem!“ Idea zjawia się tu jako określenie dążeń, wysnuwanych przez życie. Rozwój powyższy w sferze ekonomicznej nie odbywa się wszakże jednocześnie na całym obszarze Europy i, jeżeli postępować będziemy od zachodnich jej krańców ku wschodowi, spostrzeżemy coraz większe opóźnianie się. Tymczasem zrodzone pod wpływem stosunków życiowych idee przenoszą się z większą szybkością, nie czekając chwili powstania odpowiednich warunków materyalnych. Wskutek tego, gdy we Francyi np. mamy do czynienia z żywymi a masowymi ruchami, szukającymi w słowie jedynie wyrażenia swych potrzeb, gdzieindziej hasła ukazują się jako ideologiczna naleciałość z obczyzny, która osiadła w nielicznych, wrażliwych psychicznie umysłach, bez oparcia w samem społeczeństwie. Idea, która, w miejscu swego narodzenia, była wypowiedzeniem realnych interesów, przeniesiona w inne warunki zmienia się na humanitarną zachciankę nielicznych gron zwykle uprzywilejowanego pochodzenia i nawet czasami przeradza się w samowolę filantropijną.

Książka p. L. ma właśnie na celu poznajomienie czytelnika z rozwojem prądów z końca XVIII w. we Francyi i ich odzwierciedleniem w pozostałej Europie ze szczególnem uwzględnieniem naszego kraju. Autorowi chodzi zwłaszcza o wyznaczenie uczestnictwa w tym ruchu grupy przekonań, broniącej interesów ludu w przeciwstawieniu do innych warstw społecznych— zadanie, podjęte i z całą zręcznością wykonane dla Francyi przez L. Blanca i poczęści Lorenza Steina, ludzi wprawdzie odmiennych przekonań, lecz jednakowego zapatrywania na przebieg wypadków z końca w. XVIII. Nie poglądy więc fizyokratów i industryalistów, którym chodziło przedewszystkiem o pomnożenie bogactwa krajowego przez powiększenie produkcyi, ściągają na się główną uwagę autora, lecz doktryny w rodzaju Rousseau'a, Mablego i Morellego, którzy niemal wyłącznie poszukiwali warunków pomyślności ludu i „słusznego“ podziału obowiązków i korzyści pomiędzy wszystkich. Również i w przedstawieniu przewrotu 1789 r. p. L. głównie zajmuje się prądami, mającymi na celu reformę w kierunku dobrobytu mas. Najsamodzielniejszą jednak częścią jego pracy jest zobrazowanie wpływu idej, zrodzonych przez dojrzewanie w społeczeństwie francuzkiem nowej ustawy gromadzkiej, na nasze społeczeństwo z zeszłego wieku. Autor poczyna od pierwszego wrażenia, gdy pod działaniem literatury zagranicznej zwrócono się do Mablego i Rousseau'a z prośbą o poczynienie uwag nad polską konstytucyą, i od *Głosu* Leszczyńskiego, potępiającego „niewolę plebejów:“ następnie kreśli rozwój tej ostatniej idei wśród swojskich statystów XVIII w., jako też wpływ zasad fizyokratycznych i wyznacza próby emancypacyjne nielicznego stanu mieszczańskiego w epoce sejmu czteroletniego, itd. Zatrzymuje się zwłaszcza nad poglądami Kołątaja i Fr. Jezierskiego. Nie sądzimy jednakże, ażeby p. L. przedstawił wypadki miejscowe i zagraniczne z właściwą im plastycznością, jakkolwiek samo położenie rzeczy w naszym kraju, nakazujące naleciałym z obczyzny ideom zjawiać się często w postaci filantropijnej zachcianki i wprost sztucznie stwarzać sprzymierzeńców, wyłoniło mnóstwo rysów wypukłych. Wogóle, książce p. L. zbywa na tem, co nazwałbym „mięsem historycznem.“ Ludzie i wypadki tętniały życiem, tymczasem nie widzimy tego w opracowaniu autora. Tak, np. oddziaływanie przejść francuzkich na inne kraje sprowadza się u niego do suchego wyliczania osób i wypadków. Ludzie występują jako *tabulae rasae*, na których zanotowano rok urodzenia, kilka wypadków życiowych i wypowiedzianych sądów. Idea zjawia się w oderwaniu od swego głosiciela i otoczenia pod postacią cytat i w takiem bezcielesnem wypowiedzeniu odbywa wędrówki i nurtuje społeczeństwa. I sama dyalektyka, że użyjemy Heglowskiej gwary, społecznego przewrotu we Francyi jest oświetlona niewystarczająco. Tymczasem ścisła logika dziejowa wiąże ówczesne wypadki i jej to wykazanie w zakresie czasu od zwołania Stanów Generalnych do zamachu Napoleona nadaje szczególny urok książce L. Steina. Stan trzeci przy pomocy ludu zwala ustrój cechowo-pańszczyźniany, lecz ostatecznie dlań nie czyni we względzie dobrobytu materyalnego, jakkolwiek w „deklaracyi praw człowieka“ umieszcza paragrafy w rodzaju

---

nie zburzyć tej szczytnej wierności lub czci wrodzonej, jaka jest w człowieku. W czasach niewiary, które łatwo stać się mogą czasem rewolucyi, gdy wiele rzeczy wali się w gruzy, bolesny upadek czy ruina są widoczne dla każdego. Co do mnie, to w dniach, które teraz przebywamy, zdaje mi się, iż ta niezniszczalność Kultu Bohaterów jest nigdy niegasnącym dyamentem, pod który bezładna ruina rewolucyjnych rzeczy nia upadnie nigdy. Bezładna ruina rzeczy, krusząc się, a nawet trzeszcząc i przewracając kozły dokoło nas w tych wiekach rewolucyi, upadnie nizko, ale nie niżej. Kult Bohaterów to wiecznotrwały kamień węgielny, od którego mogą one rozpoczynać swą odbudowę. Niechaj człowiek w tym lub innym sensie wielbi Bohaterów: niechaj w nas wszystkich żyje i niechaj będzie koniecznem, ażeby żyła cześć dla Wielkich Ludzi: to jest dla mnie skała żyjąca pośród wszelkich możliwych upadków; jedyny stały punkt w rewolucyjnej historyi naszych czasów.

—

Wiele mówiono i pisano o Zmysłowości w Religii Mahometa; więcej, niż pozwalała słuszność. Tak zbrodnicze dla nas rozgrzeszenia, które rozdawał, nie były wcale jego dziełem; praktykowały się one w Arabii niekwestyonowane przez nikogo, od czasów niepamiętnych; on zaś zmniejszył je, ograniczył, i to nie z jednej, ale z wielu stron. Religia jego nie jest bynajmniej łatwą: ze swymi ścisłymi postami, obmywaniami, dokładnemi i zawiłemi formułami, z modlitwami, zmawianemi pięć razy na dzień, ze swą wstrzemięźliwością na punkcie wina— nie „zwyciężyła ona, jako religia łatwa.“ Jak gdyby wogóle jakakolwiek religia, albo sprawa, dotycząca religii, mogła zwyciężać w ten sposób! Spotwarza ludzi, kto utrzymuje, że do czynu heroicznego popycha ich łatwość, nadzieja rozkoszy, nagroda — łakocie jakiekolwiek w tym lub tamtym świecie! W najbardziej lichym śmiertelniku tkwi jeszcze coś szlachetnego. Biedny żołnierz, przysięgający, namawiany do nadstawiania gardła, ma swój „honor żołnierza,“ różny całkiem od prawideł musztry i szylinga na dzień. Nie o zakosztowaniu słodyczy, ale o spełnieniu rzeczy dobrych i prawdziwych, o zdobyciu sobie pod Niebiosami Boga tytułu Człowieka, stworzonego przez Boga, marzy instynktownie najbiedniejszy nawet z synów Adama. Wskażcie mu drogę do tego wiodącą — a najnędzniejszy niewolnik rozpłomieni się w bohatera. Ciężką krzywdę wyrządza się człowiekowi, gdy mu się mówi, że może być skuszony łatwością. Mozoł, zaparcie się, męczeństwo, śmierć, oto *przynęty*, działające na serce ludzkie. Zapalcie jego szlachetne życie wewnętrzne, a otrzymacie płomień, który pochłonie wszystkie względy niższe. To nie jest szczęście, ale coś wznioślejszego: daje się ono widzieć nawet w klasach płochych i lekkich z ich „punktem honoru“ i tym podobnemi rzeczami. Nie przez schlebianie naszym żądzom, ale przez rozbudzanie Heroizmu, który drzemie w każdem sercu, wszelka religia zjednywa sobie zwolenników.

Sam Mahomet, jeśli rozważyć to wszystko, co można powiedzieć o nim, nie był człowiekiem zmysłowym. Grubo zbłądzimy, jeśli będziemy uważali tego człowieka za pospolitego lubieżnika, zaabsorbowanego całkiem poziomemi rozkoszami lub wogóle jakąkolwiek rozkoszą. Jego dom należał do najskromniejszych; strawa jego ordynaryjna składała się z chleba jęczmiennego i wody: bywały czasy, że przez całe miesiące ani razu ogień nie płonął na jego kominie. Ze słuszną dumą przypominają, że sam naprawiał swoje sandały, sam łatał swój płaszcz. Biedak, mężny w swojej mordędze i źle zaopatrzony, niedbały o to, do czego ludzie pospolici dążą mozolnie, w pocie czoła. Powiedziałbym nawet, że człowiek nie zły: było w nim coś lepszego, niż *żądza* czegoś.

następujących: „zadaniem społeczeństwa politycznego może być tylko jak największe dobro wszystkich,“ „każdy obywatel, który nie może zaspokoić swych potrzeb, ma prawo do pomocy swych współobywateli“ itd. Upośledzone tłumy miejskie pochylają się ku teroryzmowi, który wywiesza na swym sztandarze obronę ludu. Atoli społeczność nie wysnuwa żadnej nici przewodniej dla działalności praktycznej w tym kierunku; górale, nie znajdując w życiu środków zapewnienia wszechwładzy i dobrobytu mas, wysyłają przeciwników na gilotynę. Jako jedyny sposób zażegnania niedoli społecznej spostrzegają równościowy podział mienia. Tymczasem gmin miejski, stanowiący podstawę dla terorystów, ostyga w pokładanych nadziejach i, kiedy stan trzeci, ochłonąwszy z przerażenia, zwala ich rządy, patrzy na to z obojętnością. Z upadkiem Góry idą w niepamięć odpowiednie punkty Deklaracyi, które wprawdzie w dyalektycznym rozwoju ruchu wyłaniają jeszcze spisek komunistyczny Baboeufa, lecz ten rozbija się przedwcześnie — ażeby uniknąć rozbicia o niedojrzałość dziejową chwili, gdyby udało się przeprowadzić pierwsze kroki zamachu. U p. L. szczegóły i drobiazgi zasłoniły właśnie tę głowną nić rozwojową. Podobnież, jak to już zauważyliśmy, i odzwierciedlenie ruchu ideowego francuzkiego w umysłach kraju naszego nie otrzymało dostatecznie wypukłego przedstawienia. Wprawdzie, jeżeli autor w tym względzie ograniczył się głównie do cytowania ustępów z broszur Kołątaja, Jezierskiego i in., uczynił to nienadaremnie. Wszakże zmiana haseł wyzwolenia klasowego na projekty indywidualno-filantropijne, zastąpienie uświadamiania humanitarnemi zabawkami w rodzaju respublik czynszowo-patrymonialnych (Brzostowski, Chreptowicz), jasno wyłożonych programów przez niedomówienia i ustępstwa, ukazanie się zamiast jednostronnych, lecz potężnych swą wiarą fanatyków — jakichś natur połowicznych, oto rysy znamionujące przeniesienie idej gdzieindziej zrodzonych na nasz grunt przez życie nieprzygotowany.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad ujemnemi stronami pracy p. L., zasadzającemi się na tem, iż szczegóły i drobiazgi wyrugowały na plan dalszy genetyczną zależność wypadków, ludzie zaś zanikli w nawale cytat. Nadto nie możemy się zgodzić z autorem na oświetlenie, jakie nadaje wielu wypadkom i osobom, lecz nie będziemy zapuszczali się w wyłożenie swoich poglądów. Natomiast praca p. L. przedstawia pewne zalety, coraz rzadsze w obecnych czasach, kiedy autorom głównie zależy na rozsprzedaniu dzieł i wysokości zysków i kiedy wykończanie na obstalunek usuwa sumienność pisarską. Znajomość rzeczy przegląda z każdej stronicy. Jeżeli więc zbywa wypadkom na „mięsie,“ przedstawieniu zaś — na pierwiastkach uogólniających, za to można być pewnym, iż autor czerpał z ręki pierwszej i wszystko, co dał, dał w niepofałszowanej nieznajomością wartości.

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

J. I. Kraszewski, *Nad przepaścią*. Lwów, 1887, str. 200.

Wincenty Sawczyński, *Kartka z dziejów Tęczyna*, Kraków, str. 109.

Stanisław Ciszewski, *Lud rolniczo górniczy z okolic Sławkowa* w pow. olkuskim. Kraków, 1887, str. 275.

Magdeburg, 24 *lipca*, 1884 *roku*.

Te słowa wymowne widnieją na końcu książki Kraszewskiego. Są one jakoby cichą skargą, wydobytą z piersi znękanego starca, jękiem żałosnym, która z celi więziennej, z po za okopów fortecy wybiega na świat i coraz szersze, coraz dalsze zatacza kręgi. Owa powieść, efektownym tytułem *Nad przepaścią* przyodziana, prócz wartości estetycznej posiada jeszcze inną: zawiera w sobie naukę, którą wyciągnąć nie trudno. Oto powinna objaśnić nas, społeczeństwo, złożone z jednostek, o temperamentach łatwo a bezskutecznie zapalnych, o charakterach miernych, usposobieniach niezdolnych do pracy ciągłej i trwałej, niekoniecznie zaraz wawrzynem powodzeń czoło wieńczącej, że nie ma takiego położenia, w którem wolnoby ręce opuścić i pracy zaniechać. Z drugiej strony atoli warunki, wśród których człowiek żyje, wyciskają swe złowrogie piętno na pracy jego ducha. Nikt nie może wyłamać się z pod żelaznego prawa tej smutnej konieczności. Mógł Kraszewski nie upaść, z niechęcią pióra nie rzucić, lecz to, co napisał, musi zawierać w sobie pewne znamiona osłabienia umysłu, przygnieconego ciężarem nieszczęść. Wprawdzie treść utworu jest tak daleką od ówczesnego położenia, jak dalekim Magdeburg od ulicy Mokotowskiej w Warszawie, gdzie akcya głównie rozgrywa się. Ze sposobu przecież obrobienia można dokładnie odtworzyć wszystkie burze, wszystkie troski, całą rozpacz i zniechęcenie chwilowe, które od czasu do czasu wstrząsały sercem i umysłem pisarza. Niektóre ustępy są starannie opracowane, na innych znać zaniedbanie. Wogóle i styl i skreślenie, czy charakterów, czy obrazów, jest pobieżne, szkicowane niemal. Występujące osoby przedstawiają się oczom naszym jako cienie, jako sylwetki, a nie jako wypukłe, brylowate postacie. To nie są ludzie obdarzeni krwią i ciałem, działający tak, jak im nakazują ich namiętności, ich przymioty lub wady, lecz drewniane, sztywne, z pośpiechem obciosane maryonetki, które skaczą i machają rękami za pociągnięciem sznurka. Zwykły ów sposób tworzenia w ostatniem dziesięcioleciu życia Kraszewskiego znajdujemy tutaj podniesionym znacznie. Myśl autora bowiem, szukając ustawicznego zapomnienia rzeczywistości, prześlizgiwała się po wierzchu tak przedmiotów, jak i osób, byleby tylko tem szerszy objąć widnokrąg, byleby ożywić i napełnić mnóstwem coraz to nowszych osobistości i sytuacyj pustkę, panującą wśród czterech nagich ścian celi więziennej. Ów pośpiech, obniżający artystyczną wartość dzieła, szkodzi także i zrozumieniu osnowy. Gdzieniegdzie bowiem przeradza się w błędy, po części także i stąd pochodzące, że sędziwemu powieściopisarzowi nie zawsze już dopisywała pamięć. Niektóre zdarzenia opowiada w dalszym ciągu powieści zupełnie inaczej, aniżeli je zaznaczył na początku. Kraszewski nie przeglądał tego, co napisał, bo wiecznie trawiła go gorączka druku. Czytelnik tedy sam nieraz z ujmą zamiarów autora musi prostować owe omyłki.

Myliłby się atoli, kto by sądził, że powieść *Nad przepaścią* ma tło ciemne i zaczernione kolorytem pesymistycznym. Jasnem ono nie jest, bo i gdzież u nas dzisiaj jasno, lecz myśli ponurych i łez daremnie byś w niej szukał. Przeciwnie, więzień, uciekając od smutnej rzeczywistości w dziedzinę lepszą, zapełnioną różowemi marzeniami, stawiał w wyobraźni budynki nowe, piękne, o silnych i niewzruszonych podstawach. Sam przybity pragnął pocieszyć się stworzeniem charakteru, który nad przepaścią już będąc, cofnął się i ratunek w poprawie własnego *ja* znalazł. Twórca więc powieści, jak *Poeta i świat*, jak *Powieść bez tytułu*, *Dajmon*, *Sfinx*, kończących się upadkiem i śmiercią ludzi, którzy do życia i szczęścia wszelkie prawa posiadali, stwa-

---

Inaczej ci dzicy arabowie, co się bili u jego boku i łokciami z nim trącali przez dwadzieścia trzy lata, w bliskiem i bezustannem z nim zetknięciu, nie czcili by go tak dalece! Byli to ludzie dzicy, śród których wybuchały od czasu do czasu kłótnie i wszelkie rodzaje surowego nieokrzesania; bez rzetelnej zasługi i bez dzielności nikt w świecie nie utrzymałby ich w karbach. Nazywali go prorokiem, powiadacie? Owoż on stał tam przed nimi twarzą w twarz; nagi, nieowinięty w żadną tajemnicę; wobec wszystkich cerował swoje odzienie, naprawiał swoje obuwie: walczył, doradzał, rozkazywał wśród nich: powinni więc byli niechybnie dojrzeć, jakiego to kroju był człowiek, którego możecie nazywać, jak się wam podoba! Żaden monarcha z koroną na głowie nie był tak słuchany, jak ten oto człowiek w płaszczu, łatanym własną jego dłonią. Przez dwadzieścia i trzy lata twardej i pozytywnej próby. Do tego trzeba mieć, według mnie, coś z prawdziwego Bohatera.

Jego ostatnie słowa to modlitwa; żarliwa, przerywana modlitwa serca, co walczy w drżącej nadziei, ażeby wznieść się ku swojemu Stwórcy. Nie możemy powiedzieć, by religia uczyniła go *gorszym*; uczyniła go ona lepszym; dobrym, nie złym. Opowiadają o nim szczytne rzeczy. Kiedy postradał swą Córkę, to, co wyrzekł wówczas właściwym sobie językiem, było bezwarunkowo szczerem, a jednak równało się temu, co mawiają Chrześcianie: „Pan daje, Pan odbiera, błogosławione niech będzie imię Pana.“ W ten sam sposób mówił z powodu Seida, swego ulubionego niewolnika, którego wyzwolił i który był drugim z wiernych. Seid poległ w wojnie Tabukskiej, w pierwszej utarczce Mahometa z grekami. Mahomet rzekł wówczas, że „dobrze się stało; Seid spełnił dzieło swojego Mistrza; Seid poszedł teraz do swojego Mistrza; wszystko jest dla Seida dobrem.“ Jednak córka Seida zastała go płaczącego nad zwłokami; starzec siwowłosy, tonący we łzach! „Co ja widzę?“ — zawołała. „Widzisz przyjaciela, płaczącego nad przyjacielem.“ Na dwa dni przed śmiercią wyszedł ostatni raz z domu, ażeby się udać do meczetu i po drodze pytał; Czy nie wyrządził komu krzywdy? Niechaj na własne jego plecy spadną ciosy rzemienia. Czy co winien komu? Głos jakiś odpowiedział: „Tak, mnie trzy drachmy,“ pożyczone przy takiej a takiej sposobności. Mahomet rozkazał, by je zapłacono: „Lepiej być zawstydzonym teraz, niż w Dzień Sądu“ — dodał.

—

Dla narodu arabskiego Mahomet był przejściem z ciemności do światła; dzięki niemu Arabia po raz pierwszy stała się żywą. Nędzny naród pastuchów, tułacz, w pustyniach swych zaprzepaszczony i od stworzenia świata nikomu nieznany: zesłano im z góry Proroka-Bohatera ze słowem, w które mogli uwierzyć: patrzcie, oto nieznany staje się znanym całemu światu, malec wyrósł do rozmiarów świata; nie upływa stulecia i Arabia jest w Grenadzie z jednej strony, w Delhi—z drugiej; skrząc się potęgą, świetnością i promieniami geniuszu, Arabia błyszczy po przez długie wieki w całym wielkim oddziale świata. Wiara jest wielka, ona daje życie. Dzieje Narodu stają się żywemi, podnoszą ducha, i olbrzymieją z chwilą, gdy zaczynają rosnąć. Ci Arabowie, ten człowiek Mahomet, i ów jedyny wiek, czy to nie jak gdyby iskra, jedna tylko iskra spadła na bezmiar tego, co się wydawało czarnym piaskiem, niegodnym uwagi; ale oto piasek okazuje się nagle wybuchającym prochem, płomień wznosi się wysoko, aż pod samo niebo, na całej przestrzeni od Delhi do Grenady. Powiedziałem już, że Wielki Człowiek był zawsze jak gdyby błyskawicą, tryskającą z Nieba; inni ludzie, oczekiwali go jak paliwa a potem sami rozgorzeli.

rza postać Aurelego Żabca, pasorzyta, światowca, gracza, który przecież w końcu wychodzi na porządnego pracownika. Lecz, by do wymyślonego z góry końca powieści dojść, Kraszewski poświęca prawdę psychologiczną. Bezwarunkowo ładnie na papierze wygląda skrucha Żabca, jego wytrwała praca nad pozbyciem się dawnych nałogów, lecz mimowoli każdy szepnie: „Szkoda, że to wszystko nieprawda, bo dzieje się za prędko, za nagle.“ Nikt przez jedną noc, przez kilka godzin odmienić się nie zdoła. Poprawa, jeżeli ma być trwałą, niepodobną do słomianego ognia, musi przejść próbę rozlicznych wahań, powątpiewań, pokus. I sprawiedliwy upada siedemdziesiąt razy na dzień, a cóż dopiero ten, kto przez większą część życia złym skłonnościom folgę dawał. Obok tej głównej postaci mamy światek złotej młodzieży, lubiącej bawić się, zjeść i wypić, mamy i kilka kobiet, kreślonych z pewnem zacięciem i dozą komizmu. Całość przypomina powieści angielskie, w licznych tłomaczeniach zalewające nasz rynek literacki.

Mimo te usterki owe dwieście stronic, kreślone ręką, drżącą ze starości, zmartwienia i bólu, w chwili, kiedy oko zamiast biegnąć w dal, zatrzymywało się na zakratowanem oknie celi, a ucho drażniły miarowe, ciężkie kroki pruskiego szyldwacha, są świadectwem, że pod względem pracy i wytrwałości, jak słusznie p. Chmielowski zauważył, sędziwy powieściopisarz niby olbrzym przerastał skarłowaciały pod tym względem ogół.

Autorem drugiej książeczki, w której nader ciekawą treść bardzo a bardzo nieudolnie obrobił, jest ks. Smoczyński, znana osobistość w kole krakowskich ultramontanów. Tych ostatnich trzeba odróżnić od stańczyków, nieraz, jak Bobrzyński, bardzo obojętnych na sprawy wiary i kościoła. Ultramontanie grupują się pod osłoną biskupa Dunajewskiego, marzącego o kardynalskiej purpurze (przykład Zbigniewa Oleśnickiego może go do tego zachęcać). Czerpią oni wzory z Poznańskiego, od rojalistów i legitymistów francuskich. Głównym punktem ich nienawiści jest świecka szkoła ludowa. W walce przeciwko niej zasłynął przed paru laty i ks. Smoczyński. Niepomny, na jakie trudności są narażeni ci męczennicy stosunków społecznych, którzy za nędzne uposażenie muszą szerzyć wiedzę wśród ludu słowem i czynem, rzucał z ambony gromy potępienia na cały stan świeckich nauczycieli. Niezaszczytna to walka! Toczą ją dlatego, by szkołę ludową wydać na łup duchowieństwa. Początek już dano w Tęczynku pod Krzeszowicami, gdzie ks. Smoczyński jest proboszczem. Pozbyto się świeckiego nauczyciela, a wprowadzono zakonnice. Te ostatnie tedy zarządzają szkołą ludową dwuklasową. Tak samo postąpili i proboszczowie kilku wsi sąsiednich, bo biskup łaskawem okiem patrzy na podobne postępowanie. W książeczce swej, która za główne tło ma epizod z dziejów Tęczyna, jednego z najstarszych zamków naszych, autor pod przejrzystą osłonką zaznacza, że stało się to wszystko za jego zasługą i staraniem. A dalej pisze: „Zdaniem naszem, bylibyśmy za tem, aby zamiast czynienia zapisów na stypendya szkolne, szlachetni ofiarodawcy zakładali takie ochronki i szkółki pod opieką Wiel. Sióstr Miłosierdzia lub Sióstr Felicyanek, byłby z tego daleko większy pożytek; a powtóre, że takie używanie majątku, jak powyższy zapis, najprędzej dąży do rozwiązania sprawy socyalnej“ (str. 27).

Ot i wylazło szydło z worka. Do czego dąży ks. Smoczyński? Po pierwsze, aby młodzieży szkół wyższych odebrać zasiłki na kształcenie się. Zapewne dlatego tak czyni, bo z niej sami *farmazoni* wyrastają, którzy księżom nie dają się za nos wodzić. Po drugie, pragnie jaknajwiększe bogactwa zgromadzić w ręku duchowieństwa. Zręcznych sposobów używa do swej agitacyi; szafuje szumnymi frazesami, bo nawet takim, jak „rozwiązanie sprawy socyalnej.“ Najwidoczniej zapomniał — a może z umysłu — że już ongi tak było. Dawniej duchowieństwo opływało w dostatkach, dzierżyło w swych chciwych rękach wiele ziemi i mnóstwo kapitałów, a właśnie ta okoliczność przyczyniła się w znacznej mierze do zaognienia sprawy socyalnej. Duchowieństwo bogato tworzyło osobny stan, samolubny i szkodliwy dla ogółu. Nic to atoli pp. klerykałum nie przeszkadza, by i dzisiaj nie próbowali wykonać „ten sam stuck, tylko na inny manier,“ tem bardziej, że w Galicyi usiłowania te stokrotny plon im przynoszą. Podobnych kwiatów agitacyjnych całe mnóstwo przyozdabia kartki owej książeczki, poświęconej „Jaśnie Wielmożnej Pani Katarzynie z hrabiów Branickich hrabinie Adamowej Potockiej, najdostojniejszej kolatorce.“ Kto zaś pragnie poznać nader bystre zapatrywania społeczne autora, ten niech przeczyta zakończenie książeczki. Tutaj znajdują się, ni przypiął ni przyłatał, rady rozwiązania kwestyi żydowskiej. Podług ks. Smoczyńskiego, jedynym stanowczym sposobem załatwienia tej sprawy jest przyjęcie chrztu przez żydów. „Kto z nich uwierzy i ochrzci się, ten pali za sobą żydowskie mosty. Łaska Boża cuda w nim zrobi.“ Ciekawi jesteśmy, czy chrzest zdoła w jednostce zniszczyć raz na zawsze wszystkie popędy, skłonności i nawyknienia rasowe, które są wiekowem dziedzictwem każdego narodu. Dalej ks. Smoczyński zapomniał dodać, którego obrządku chrzest jest tak skutecznem lekarstwem. Czy protestantyzm cieszy się w oczach jego takiemi samemi łaskami, jak katolicyzm?

Tło naukowe stanowi opis zarazy w Tęczynie w r. 1710, oparty na aktach kościelnych. Są to ciekawe szczegóły, niestety krytycznie nieobrobione, w jaki sposób chroniono się od *złego powietrza*, jak usuwano zapowietrzonych, jak udzielano im ratunku, jak ich grzebano. Autor, z metodą naukową nieobeznany, z materyału owego nie zrobić nie umiał. Na samym wstępie zapowiada, że jest to wyjątek z większej pracy, zawierającej opowieść o losach Tęczyna, a opartej na ciekawych dokumentach. Wartoby tedy, aby, albo je powtórnie opracował bez agitacyjnych *intermezzo*, albo też, gdy sam nie czuje się na siłach, odstąpił je jednemu z pracowników na niwie historycznej. Ten zaś z pewnością dar ów z większą korzyścią dla nauki wyzyska, aniżeli ks. Smoczyński, któremu agitacya na rzecz ultramontańskich interesów zbyt dużo czasu zabiera.

Ważnym przyczynkiem do etnografii krajowej, metodycznie obrobionym, bez cienia subjektywizmu, jest praca p. Ciszewskiego. Dowiadujemy się z niej wiele szczegółów o ludności chłopskiej, zamieszkującej powiat olkuski, a rozdzielonej na dwa odłamy: górników i rolników. Pierwsi różnią się od drugich i zwyczajami po części i ubiorem. Niepodobieństwem jest tu dla braku miejsca streścić choćby pobieżnie ów gruby tom, zawierający opis i samego typu ludności i jej mieszkań, pożywienia, zajęć i pracy, ubiorów, zwyczajów, pieśni i gadek. Należy tylko podziękować autorowi za tak sumienny obraz skrawka naszej ziemi, a innych etnografów naszych zachęcić, by w pracach swych kroczyli śladami książki p. Ciszewskiego.

A. N.

Z NIEMIEC.

1 czerwca.

Z literatury filozoficznej w Niemczech: podręczniki Überwega i Schweglera. — Nowe prace literacko-historyczne hr. Schacka i Kohnta. — Biblioteki nowelistyczne Heysego i Bachema. — Czem się zajmują poetki niemieckie. — Utwory Maryi Hanstein i Maryi Koch. — „Im Kampf um die Zukunft“ (poemat Maryi Janitschek).

Na polu literatury filozoficznej ukazały się nowe wydania dwóch podręczników, z których jeden niezbędny jest dla wszystkich, zajmujących się poważnie filozofią, drugi bardzo cennym dla studentów. Siódme wydanie trzeciego tomu historyi filozofii Ueberwega przez szersze koła z upragnieniem było oczekiwane, podczas gdy nowa edycya Schweglera niejednemu kandydatowi nauk filozoficznych niemałą sprawić musiała ulgę. Wiadomo, że podręcznik ten w opracowaniu Koebera usunął w kołach studenckich dzieła Dühringa i Knauera, które w przedostatniem dziesięcioleciu miały po kilka wydań; nowy zaś podręcznik Rabusa, należącego do szkoły Baadera, nie posiada również zalet praktycznych. Z wielką, trzytomową historyą Ueberwega-Heinzego współzawodniczył chyba zarys Erdmana, który doczekał się trzech wydań (w r. 1866, 1869 i 1877); od lat jedenastu atoli nie był przeglądanym i uzupełnianym, ustępuje przeto coraz bardziej z placu. Nowsze zaś dzieła historyczne odnoszą się tylko do okresów pojedynczych; i tak Zeller opracował historyę literatury greckiej (2 wyd. w r. 1886) i niemieckiej (2 wyd. w r. 1875), Falckenberg historyę literatury nowszej.

Schwegler i Ueberweg zaś nie współzawodniczą z sobą, gdyż książka pierwszego zawiera tylko przegląd ogólny całego rozwoju historycznego filozofii, podczas gdy dzieło drugiego cennem jest głównie dla wyczerpujących wykazów bibliograficznych. Należy nadmienić, że wykazy te drukowane są pismem drobnem i przez tych, którym tylko o tekst chodzi, łatwo mogą być opuszczane; że każdy autor traktowany jest najprzód zwięźle i pokrótce, a potem dopiero, w ustępach innem drukowanych pismem, wyczerpująco. W dziele tem mieszczą się przeto niejako trzy podręczniki dla trzech różnych grup czytelników przeznaczone, nie narzucające mimo to jednej grupie tego, czego potrzebuje druga.

Zarys Schweglera sięgał zrazu tylko do filozofii Hegla; Koeber uzupełnił go dwoma paragrafami o Schopenhauerze i Hartmannie; zarazem połączył historyę filozofii starożytnej z nowożytną związkiem przedstawieniem scholastyki, którą na wszechnicach protestanckich się nie zajmują. Tem samem praca jego stała się użyteczną dla studentów wszystkich uniwersytetów.

Trzeci tom historyi Ueberwega doznał znacznych uzupełnień; powiększono go o 200 stron, głównie na korzyść filozofii najnowszej. Opracowanie Heinzego przewyższa dziś zarys Erdmanna pod każdym względem: przedstawia bowiem wyczerpująco filozofię wszystkich ludów cywilizowanych, a niemiecką grupuje znacznie trafniej. Erdmann niesłusznie zalicza wielu nowszych filozofów niemieckich do szkoły Hegla; zapomnianych dziś systematyków o niewielkiem znaczeniu, jak Chalybäusa, określa wyczerpująco, podczas gdy o Kirchmannie, Froschhammerze, Wundtcie, ledwie króciuchno znajdujemy wzmianki.

Heinze przeciwnie, od zwolenników Hegla oddziela szkoły Herbarta, Schleiermachera, Schopenhauera i Benekego, traktując nadto osobno nowo-arystotelizm i nowo-kantyzm. Najnowszą zaś filozofię niemiecką wykłada w trzech rozdziałach: teizm spekulacyjny, materyalizm i nauki przyrodnicze, wreszcie próby nowych systemów. W ten sposób czytelnik przecież jako tako zoryentować się może w labiryncie współczesnej filozofii niemieckiej.

Historya literatury wzbogaconą została dwiema pracami nader zajmującemi, aczkolwiek niezbyt świetnemi. Ogłoszenie pamiętników hr. Schacka zajęło nietylko Niemcy. Autor znany jako poeta, tłomacz i właściciel pysznej galeryi obrazów, w ciągu długiego swego życia, głównie dzięki

wybitnej pozycyi towarzyskiej, stykał się z wszystkiemi niemal znakomitościami tego stulecia, a więc z Mazzinim, Napoleonem, Wiktorem Hugo, Humboldtem, Wagnerem i z wielu innymi. Opowiada o nich niejedną rzecz nową. Pamiętniki jego uzupełniają biografie niejednego poety niemieckiego, zwłaszcza zajmująca postać Grabbego występuje w nich wcale plastycznie. Nadto książka ta jest prawdziwą kopalnią dla miłośników „historycznych dowcipów.“

Czysto literackiej treści są szkice Kohnta *), przedstawiające wybitnych poetów i autorów XVIII i XIX stulecia. Autor opowiada nam o Lessingu, jako księgarzu, o Herderze, Goethem, Schillerze i Manzonim; w drugim rozdziale o Schenkendorfie, Scheferze, Varnhagenie, Bettinie Arnim, Aragu, Humboldcie i Körnerze. Zajmującą jest tu charakterystyka Bettiny Arnim. „Była to może najbardziej fantastyczna, kapryśna i wybrykowa kobieta pisząca. Zwolenniczka ramantyzmu, podobnie jak brat jej i małżonek, łączyła w sobie najdziwniejsze sprzeczności: była kobietą — i demonem, geniuszem i bachantką, upajającą się własnem słowem. Podczas gdy Rachela Varnhagen nigdy nie uchybiała godności swej i stateczności, uważając, podobnie jak Goethe, harmonię duszy za najwyższą zdobycz filozofii, Bettina zawsze była gotową puścić wodze fantastycznym swym pomysłom.“

W trzecim rozdziale występuje Heine, Mignet, Henryeta Herz, księżna Pückler-Muskene, Saphir, Ihering, Jensen, Bormann i Peschkau.

Niesłychanie obfita produkcya powieściowa i nowelistyczna w Niemczech szuka sobie coraz nowych form odbytu. Ulubione obecnie są wydawnictwa zbiorowe. I tak Paweł Heyse wydaje łącznie z Ludwikiem Laistnerem w Monachium bibliotekę nowelistyczną p. t.: *Neuer deutscher Novellenschatz*. Słabsze rzeczy, któreby samoistnie nigdy może nie znalazły nakładcy i kupującej publiczności, znajdują tu odbyt kosztem lepszych, istotnie zajmujących, i z protekcyi wydawcy, pokrywającego wszystko swą firmą. W ostatnich dwóch tomikach tego wydawnictwa znajdujemy utwory o wcale nierównej wartości. Prawdziwie cenną, a dla nas szczególnie zajmującą jest nowela „Cezar Grawiński“ p. A. Webera. Akcya odgrywająca się w Galicyi, jest wysoce dramatyczną. Cezar Grawiński zakochał się w narzeczonej brata, którą tenże powierzył jego opiece, będąc zmuszony wziąć udział w kampanii wojennej. Nadchodzi wiadomość o śmierci brata; Cezar poślubia dziewczę, które wzajemnie obdarzyło go sympatyą. Okazuje się jednak, że wiadomość owa była mylną, starszy Grawiński wraca, a powrót jego wywołuje starcie, zawiązujące się tragicznie. Znany krytyk niemiecki, Ernest Wechsler, podnosząc zalety tej noweli, napisał między innemi: „Byłoby pożądanem, ażeby podobne prawdziwe a artystycznie niepoślednie obrazy z życia galicyjsko-polskiego zdarły maskę fałszu i próżni wewnętrznej z innych prac na tem tle, które niezasłużonego doczekały się rozgłosu. Mam na myśli „nowele“ Karola Francoza, w których obok olśniewającego stylu, uwydatnia się tendencyjność osnowy, sztuczna charakterystyka i sfalszowanie postaci. Adelhad Weber będzie dla Francoza „niebezpiecznym“ współzawodnikiem, tj. niebezpiecznym dla niego, ale pożytecznym dla literatury.“

Ludwika Ganghofera „Der Herrgottschnitzer von Ammezyan“ jest rozgłośną dziś w Niemczech, gdyż nowela ta została udramatyzowaną, a sztuka ludowa pod tymże tytułem przedstawianą była we wszystkich niemal większych miastach niemieckich. Ganghofer dziś już nieraz zmanierowany, sam siebie naśladujący, do przesytu powtarzający piosenkę, która raz spotkała się z oklaskiem, tu okazuje jeszcze całą naiwność i świeżość prawdziwego talentu. Zalety tej nie posiada trzecia nowela „Verzaubert,“ Arnolda. Autor jest słabym naśladowcą Heysego. Wprowadza on na wzór tegoż „ein interresantes Weib,“ która wywiera wpływ demoniczny na całe swe otoczenie i niebezpieczną pięknością swą podkopuje szczęście całej rodziny. Dalsze nowelki, zawarte w zbiorkach tych, nie zasługują na to, ażeby się z niemi zapoznać. „Das Brot der Engel“ Emila Vacano, jest historyą miłości pięknego mnicha i młodej kobiety; „Der alte Randolph“ Idy Boy-Ed, nie ma najmniejszej racyi bytu literackiego.

Lepsze nieco rzeczy mieszczą się w bibliotece nowelistycznej Bachema (*Bachem's Novellensammlung*). Elizy Polko „Die frohen Augen,“ jest opowiadaniem zwykłego u tej autorki rodzaju, lekkiem, powierzchownem, bez poważnej charakterystyki — poprostu zabawka buduarowa, niepozostawiająca żadnego śladu w umyśle czytającego. Powiastka Waltera Schwarza „Die Uhr des René Cardillac“; przypomina poniekąd znane ponure, demoniczne opowieści Hoffmanna. Kosztowny zegar jest najmilszym przedmiotem starego, samotnego miłośnika sztuki, któremu przypomina mistrza ubóstwianego. Córka jego wychodzi za szlachcica, który niebawem roztrwonił cały majątek żony. Parta nędzą, zaczyna prosić ojca o odstąpienie jej zegara. Biedny starzec wreszcie spełnia jej prośbę, sam zaś umiera z żalu.

Na zakończenie przeglądu dzisiejszego chcielibyśmy rzucić okiem na najnowsze utwory kobiet piszących w Niemczech. Rzecz dziwna, że podczas gdy u nas kobiety zajmują dziś stanowiska pierwszorzędne w literaturze pięknej, bez wyjątku prawie hołdując hasłom postępowym; podczas gdy autorki polskie bezsprzecznie stoją na poziomie rozwoju literackiego na zachodzie, niemki przedłużają w nieskończoność echa romantyzmu i produkują poezye niestrawne pod każdym względem.

Kennst du im Heimatswalde die liederkund'ge Maid,
Urväterweisen harfend in tiefster Einsamkeit?

Wiersze te, które wyjmujemy z utworów Maryi Hanstein, odnieść by można do całego szeregu poetek niemieckich. Potomkinie druidek do dziś dnia nie znalazły nowych tematów. Marya Hanstein, której utwór „Die Alfingo“ poleca Feliks Dahn w przedmowie, jest uczenicą słynnego germanisty, Jakóba Grimma. Słabym tchem staropanieńskiej swej fantazyi chciałaby ożywić zgasłe pokolenia Eberwolfów, Herwolfów, Hidalind i Adalgerów. Wypuściła ona już w świat cały szereg podobnych opowieści: „Des Knappen Siegwart goldenes Buch,“ „Aslaug Sage,“ „König Dietrich und königin Gotelind“ i wiele innych. Pewny jestem, że nie znacie tych utworów starogermańskiej muzy i nie radzę wam zapoznawać się z nimi. Grzeczność krytyków niemieckich sprawia, że romantyzm ten szerzy się pomiędzy autorkami niemieckiemi, jak zaraza. Wszakże nawet Karol Simrock, słynny tłomacz Nibelungów, napisał do p. Hanstein: „Jam tylko tłomaczem, pani zaś dostał się w udziale piękny talent wskrzeszenia starej poezyi, jesteś niby druga Hildą.“ Pokorciło tedy zostać trzecią Hildą panią Mary Koch, która ogłosiła aż jedenaście długich pieśni epicznych o nadreńskiej Loreley. Czterowiersz, który poniżej przytaczam, przekona was, że czytając tę opowieść epiczną, musielibyśmy ciągle ziewać, gdyby pocieszna nieporadność zdań i niepoprawność rymu nie pozwalała od czasu do czasu się uśmiechnąć:

„Zu seiner Rechten Bischof Udo,
Zur Linken Friederich von *Köln*,
Sie sind vereinet jetzt erschienen,
Um ernstes Urtheil hier zu *fälln*.“ *).

Podobnej wartości jest utwór p. Villamaria, „Verscholl'ne Mär, von Novellencyklus von König Artur Tafelrunde.“

Smutno, że nawet te autorki, które słyną jako postępowe i poważne, żyją w atmosferze umysłowej, niezgodnej z nowożytnym poglądem na świat na podstawie przyrodniczej. Marya Janitschek z Strassburga, ogłasza poemat p. t. „Im Kampf um die Zukunft.“ Znajdujemy się u łoża chorej matki, która umierając, żegna córkę, pozostającą w życiu samą jedną. „Czy zobaczym się kiedyś?“ — oto pytanie, około którego kręci się poemat cały. Nadmieniamy, że autorka zajmuje się cierpieniami klas uciskanych, palącemi kwestyami współczesnemi, że poemat jej czasem ma zabarwienie społeczne. A jednak, ile tam wody! I dokąd dobijamy wreszcie, płynąc tą wodą rozwalkowanych myśli!

Ladawa.

LITERATURA RUSKA.

WSIEWOŁOD GARSZYN.

Piśmiennictwo ruskie pozyskało w ostatnich czasach dwóch pierwszorzędnych nowelistów: Włodzimierza Korolenkę i Wsiewoloda Garszyna. Ten ostatni zgasł w chwili, gdy talent jego dochodził do największego rozkwitu. Obaj autorowie dążeniami i usposobieniem wielce są do siebie zbliżeni, z tą wszakże różnicą, że pierwszy jest psychologiem, obdarzonym wielką ckliwością, pesymistą wzruszającym do głębi czytelnika, odtwarzającym cierpienia uciskanych i nędzarzy. Drugi, oprócz powyższych cech, posiada inne: jest psychopatą. Utwory jego nietylko smucą, lecz przygnębiają: wiele z nich— to naga, wierna prawda, bodaj z życia piszącego wzięta. Obrazki jego z ostatniej wojny tureckiej są zapewne odbiciem osobistych wrażeń. Tu Garszyn w drobnych obrazkach jest mistrzem w jej zohydzeniu; musiał wszakże, zetknąwszy się z nią bezpośrednio, doznać silnych wstrząśnień moralnych, które przy innych sprowadziły nań czarną melancholię. Skończył swe cierpienia, odbierając sobie życie pod wpływem rozstroju umysłowego. Zapewne stan ten gnębił go od dawna, być może nieraz przemijająco. Świadczy o tem bohater opowieści p. t. *Czerwony kwiatek*— obłąkaniec. Jest to człowiek, który cierpiał dolegliwościami milionów, w końcu dostał obłędu. Gdy mu w szpitalu chorych umysłowo przykładano synapizmę na karku, wyobrażał sobie, że go wzięto na tortury za walkę o szczęście bliźnich. Zamknięty w celi, spostrzegł przez okno kwiatek czerwony w ogrodzie. Odtąd gorącem jego pragnieniem było zerwać ten kwiatek, bo w nim wszystko się skupiło, co jest najpotworniejszego w świecie. Uszczknę go i położę na piersiach sobie — myślał — wszelka podłość wsiąknie we mnie, sam spodlcję, ale odkupię ludzkość. Nie tak wszakże łatwo było zamiar doprowadzić do skutku. Pierwszy raz na przechadzce, gdy już po przedmiot pożądany wyciągnął rękę, przeszkodził mu dozorca. Odtąd pragnienia jego pałały jeszcze większym ogniem. Wielka była radość i zarazem wstrząśnienie do głębi, gdy nareszcie udało mu się ów kwiatek posiąść. Ukrył go pod ubraniem na piersiach i uczuł silne palenie złego; wsiąkało ono do jego ciała i ducha, sam się podlił do ocalenia innych. Ale dzieło jeszcze nieskończone. Pewnego dnia spostrzegł przez okno, że z pączka rozwinął się taki sam kwiat. Czekało go nowe zadanie. Prześladowany przez opiekę szpitalną, przywiązany powrozami do łóżka za niespokojne zachowanie się, ostatkami sił wyczerpanych uwalnia się z więzów, prześliźga

*) Ragende Gipfel.

*) Po prawicy jego biskup Udo, po lewicy Fryderyk z Kolonii ukazali się teraz razem dla wydania poważnego wyroku.

przez druty okienne kosztem ciała pokaleczonego o żelazo. Nareszcie spełniwszy swe zadanie, wraca, kładzie się do łóżka i wycieńczony do reszty, umiera z kwiatkiem złego w zaciśniętej dłoni. Przy czytaniu tego smutnego opowiadania, zapomina się o przenośni. Garszyn, oprócz udzielania czytelnikowi smutku, drażni go czasem, ale nie obrazowaniem, nie sposobem pisania, tylko umiejętnością nasuwania myślącemu człowiekowi szeregu obrazów pobocznych. To, mojem zdaniem, jest zasadniczą wartością jego talentu. Raz on tylko uśmiecha się gorzko w obrazku *Deńszczyk i oficer*, lecz i tu przeważają sceny krwawiące serce. Stary chłop rażony został ogłupieniem i niemotą na wieść o wzięciu wychowańca do wojska, który był maszyną doskonale spełniającą roboty gospodarskie; pod wpływem rygoru wojskowego traci on zdolność pojmowania najprostszych rzeczy. Drży z obawy, aby nie pójść na lewo, gdy mu każą na prawo. Idyota w szeregu, spełnia doskonale służbę jako „deńszczyk“ oficerski.

Do ponurych obrazów z dziedziny psychopatyi należy *Noc*. Oto znamienny ustęp: „Zegarek na stole jednostajnie śpiewał dwie nutki. Różnicę między niemi trudno było pochwycić najczulszem nawet uchem. Blademu jednak właścicielowi czasomierza, siedzącemu przy stole, miarowe stukanie kółek wydało się całą pieśnią. Bezcelowa ona i bezlitosna — mówił do siebie — układa ją i wyśpiewuje sam czas a jakby w chęci drażnienia mię, śpiewa z dokuczliwą jednostajnością. Trzy, cztery, dziesięć lat temu zegarek stukał, jak w tej chwili; za lat dziesięć będzie stukać tak samo... W takt tej pieśni przeszło całe życie ze swą pozorną różnorodnością: ze smutkiem i weselem, spoczynkiem i niepokojem, nienawiścią i miłością. Zaledwie teraz, w tę noc głuchą, gdy wszystko w wielkiem mieście i wielkim domu twardo zasypia, kiedy nie dochodzi do mnie żaden głos inny, prócz bicia mego serca i stukania zegarka; dopiero teraz widzę jasno, że wszystkie owe troski, radości, niepokoje i wszystko wogóle, co się w życiu stało i istotę jego stanowiło, jest niczem innem, jak szeregiem bezcielesnych majaków. Za jednym z nich uganiałem się, nie wiedząc po co, od innych usiłowałem uciekać, nie wiedząc dlaczego. Wówczas nie wiedziałem, iż w życiu jedyną jawą jest — czas... Zna on tylko jedną piosnkę — tę, która właśnie w tej chwili tak nielitościwie duszę mą nęka...“

Drobiazgowa analiza psychologiczna, a szczególnie zboczeń umysłowych, jest ulubionem zadaniem autora.

Oprócz realistycznych obrazów pisał Garszyn utwory fantastyczne, w rodzaju bajek z pełnią artyzmu. Wyborną satyrą jest nowela p. t. *Spotkanie*. Bohater jej, jeden z wielu, rządzi się na trzeźwo zasadą: „ryba żyje rybą, a człowiek człowiekiem.“

Zdawało się, iż duch autora, targany burzą chorobliwych urządzeń, w końcu się uspokoi i popłynie w powieściach szerszego zakroju. Niestety! zanadto on cierpiał, ażeby mógł przebyć zwycięzko gniewliwe morze, którego brzegów dotąd nie widać. Uczucia, myśli i dążenia Garszyna płynęły szerokiem łożyskiem. Dlatego też nie był on pisarzem swego narodu, ale ogólnoludzkim.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Chłody wiosenne. — Dreszcze matki. — Nowy sposób zostania sławnym. — Co nam obiecuje p. Jawornicki.—Elektryczna szybkość poznawania Afryki.— Zmarnowane pieniądze. — Siostrzyczki żelazne. — Wyzysk i niedbalstwo. — Z wielkiej chmury mały deszcz. — Spółka owocarska. — Muzeum pszczelnicze. — Gmina żydowska.

Nawet najlepsza z matek, która nigdy swych dzieci nie opuszcza, nawet natura coraz częściej okazuje się dla nas macochą. Gdzie się podziały jej pieszczoty i uśmiechy wiosenne! Po dniach światła i ciepła rzuca ostre chłody, jak gdyby nimi zatrzeć chciała ślady swych skąpych czułości. Liście drzew pomarszczyły się dojrzałością przedwczesną, kwiaty posiniały zziębnięte i nie rozlewają obfitych fal swej woni, a śpiewak wiosny nie kocha jej widocznie i nie czaruje pieśniami. Ta więc pora odrodzin i nadziei, ta pora topnienia lodowatych smutków i rozkwitu zmarłych uczuć, ta pora lżejszego oddechu nieszczęśliwych odmówiła ludziom znacznej części łask swoich. Jak w życiu, tak w przyrodzie ciągnie się długa, nieskończona zima, przerywana bladymi uśmiechami jesieni, tu i tam chłodno, tu i tam mrozy, ostre wiatry lub szarugi. O co się gniewa na swe dzieci ta nasza matka? Czy może za wiele połamaliśmy jej praw i poczynili gwałtów? Czy zatamowaliśmy siły, które należało oswobodzić, czy poniszczyliśmy twory, które powinny były istnieć, czy rozłączyliśmy pierwiastki, które chciały się spoić, czy w życiu naszem nie zgromadziło się wiele przymusów, zniewoleń, rozedrzeń i sztucznych zlepków?

Krawędzią niwy zbożowej szedł jakiś blady dziwak i rwał przy jej brzegu rosnące maki. Spojrzałem na niego — stanął, pozdrowił mnie i rzekł wzruszonym głosem:

— Trzeba w zbożu ścinać te czerwone główki — prawda panie? Na Synaju tak przykazano. Pomszczę się wreszcie. Byłem kiedyś pestką brzoskwini, wsadzono mnie w śliwkę, byłem sercem człowieka, wpakowali mnie w pierś wołu; byłem kryształem soli, utłukli mnie i zmieszali z pieprzem; byłem konwalią, zaszczepili mnie na głogu; byłem słowikiem, wypchali mnie i przypięli na kapeluszu kobiecym; byłem statuą marmurową, zrobiono ze mnie osełkę do ostrzenia nożów... Ciągle, ile razy byłem czemś, zmuszano mnie być czemś innem... Teraz ja pustoszę i gwałcę naturę, zrywam czerwone maki, bo są to główki niebezpieczniejsze.

Biedny waryat, jakże on rozumnie się skarżył. Może istotnie natura, widząc połamane swe prawa, doznaje dreszczów i dlatego tak nią trzęsie zimnica.

Baran głupi a pokryty wełną, która najpewniej zabezpiecza od wszelkich chłodów. Jest to niewątpliwa prawda i jako rzeczywistość i jako symbol. Kto chce, ażeby mu było ciepło, niech będzie baranem. Bezmyślność — to najlepszy kożuch. Skoro więc zimno, strzyżmy wełnę i rozgrzewajmy się nią. Proszę za mną.

Dotąd istniało u nas kilka sposobów rozgłosu: kto nie może wystąpić na scenie, lub napisać komedyi, ten umiera i zostaje sławnym bodaj na dzień jeden. (Musi to być bardzo drobny kiełbik, który się prześliznie przez małe oczka sieci *Kuryerowej* i nieznany wpadnie do rzeki zapomnienia; znaczna większość nieboszczyków ma zapewniony pogrzeb z honorami dziennikarskimi). Dzięki wszakże p. Rogozińskiemu przybyła nam od lat paru nowa i bardzo krótka ścieżka ku chwale, mianowicie — wyjazd do Afryki. Anglicy, francuzi, niemcy odbywają tę podróż często i licznie, a prasa— rzecz szczególna — nie zwraca na to żadnej uwagi, że pp. Müller lub Bull odpłynęli tam za interesem lub dla przyjemności. U nas są to wypadki pierwszorzędnej wagi, chociaż p. Rogoziński i jego towarzysze zapomnieli „wpisać swych imion do księgi wiedzy“ i poprzestają bądź na „oglądaniu ciekawych okolic,“ bądź na uprawie kakao. Pierwsza ich wycieczka nazywała się „pierwszą polską wyprawą do Afryki,“ następnych już nie numerowano, bo szanowni podróżnicy wyjeżdżają tam i wracają tak często, jak uczniowie na wakacye. Mimo wszakże tej częstości nie oswoiliśmy się jeszcze z urokiem, bijącym od naszych Stanleyów, którzy poszukując jezior Liba, znaleźli kakao. A chociaż ani jeden z nich nie wybrał się nawet ze skromnym zapasem wiedzy specyalnej, chociaż naukowe ich przygotowanie nie wyrównywało przygotowaniu studentów zwiedzających góry Świętokrzyzkie, chociaż są to badacze improwizowani i krążący niedaleko stacyj handlowych, a więc właściwie nieodkrywający niczego, każdy wraca do kraju obciążony jak pszczoła miodem wiedzy, którą składa w ulu literatury. I oto znowu na katedrze publicznej stanie wkrótce p. Jawornicki, aby — jak powiada *Kuryer warsz.* — wyspowiadać się z *poezyi* swych *egzotycznych* wrażeń i z prozy swoich dotkliwych i *zniechęcających* doświadczeń. *Dziesięć* (wyraźnie: dziesięć) miesięcy walczył (!) z klimatem, z obyczajami i dziwactwami miejscowego barbarzyństwa. Poznał *gruntownie* (przez 10 miesięcy!) przyrodę, stosunki handlowe, faunę i florę, źródła eksploatacyi, no — comme de raison — i kobiety. Mnie się zdaje, że przez 10 miesięcy poznać można zaledwie „comme de raison“ — i to jednostronnie. Ażeby taki przeciąg czasu wystarczył komukolwiek na gruntowne zbadanie i stosunków handlowych, i źródeł eksploatacyi, i całej fauny, i całej flory, i przyrody bodajby tylko w ograniczonym obrębie Afryki — bardzo wątpię. Pozostaje więc tylko „poezya egzotyczna wrażeń“ i „proza zniechęcających doświadczeń“; kto więc tej „spowiedzi“ ciekaw, niech jej posłucha i dowie się, jak p. Jawornicki „walczył z klimatem, obyczajami i dziwactwami miejscowego barbarzyństwa.“ Mnie to nic a nic nie obchodzi, gdyż ani szan. podróżnika do tej wycieczki nie namawiałem, ani pisać jego biografii nie myślę. Nie znaczy to wszakże, ażebym innych od prelekcyi odstręczał, jeżeli tylko — jak zapewnia *Kuryer* — p. Jawornicki ostatecznie dowiedzie, że „dla przeciętnego warszawianina nie rosną jabłka Hesperyd w sąsiedztwie Fernando Po i że lepiej klepać biedę na miejscu, niż w przybranej ojczyźnie Rogozińskiego.“ Wprawdzie nie sądzę, ażeby wśród przeciętnych warszawian i niewarszawian znalazło się wielu zwolenników wyprawy do Afryki, ale pożytecznem jest odstraszyć nawet jednostki nierozważne od badania jezior Liba i gór Kameruńskich z nadzieją zerwania złotych jabłek. Wejścia do ogrodu Hesperyd strzegł smok Ladon, który położył się teraz u wnętrza Afryki i pożera każdego, kto chce tam wejść bez należytej wiedzy i środków. Ci zaś, co pragną poznać śmieszne bałamuctwo przejażdżek p. Rogozińskiego i czegoś się nauczyć, niech przeczytają świeżo wydane dzieła: *Im Innern Afrikas* Wissmana, Wolffa, François i Müllera, oraz *Die Erforschung des Tschuapa und Lulongo* François. Tam zobaczą, jak się to bada nieznane kraje i jakie owoce przynosi się swym ziomkom. Gdyby uczestnicy „pierwszej wyprawy polskiej do Afryki“ za pieniądze, zmarnowane na „poezyę egzotycznych wrażeń“ i „prozę zniechęcających doświadczeń,“ wydali w polskim przekładzie jedno z tych dzieł lub opis podróży Livingstone'a i Stanleya, wyświadczyliby jej większą usługę, niż swemi publicznemi „spowiedziami.“

Przypuszczać by można, że ponieważ koleje Terespolska i Nadwiślańska biegną na wschód i północ, nie wywożą i nie przywożą podróżników afrykańskich, więc nie potrzebują zaprowadzać biletów letnich z bezpłatnym powrotem. Sądzę jednak, że ulegają one pobudkom daleko bliżej leżącym. Są to drogi żelazne z poręczonymi przez rząd dochodami, jakkolwiek gospodarują, w niedobór nie wpadną, bo największą szczerbę opatrzność załata; po co więc mają trudzić się obmyślaniem sposobów zwiększania ruchu? Jeszcze ściąganie towarów, których transport głównie kasę zasila, warto zachodu; ale czy 200 lub 500 osób więcej lub

mniej wyjedzie na spacer i do letnich mieszkań — kto to by tam dbał o to, mając kilka lub kilkanaście tysięcy rubli rocznej pensyi. Gdzie niema gwarancyi państwowej, gdzie kolej musi być kupcem zapobiegliwym, energicznym, wysilającym swą pomysłowość na spotęgowanie wszelkiego, a więc i osobowego ruchu, tam publiczność używa najrozmaitszych udogodnień i ulg. Ale co składa do tych zabiegów i ofiar (w rezultacie korzystnych) Terespolską i Nadwiślańską, dwie linie w całym świecie cywilizowanym, na których nietylko nie otrzymujesz biletów spacerowych ze zniżoną ceną, ale wsiadając na przystankach musisz je nabywać dwukrotnie i płacisz za dłuższą przestrzeń, niż przebywasz. Są to cenne unikaty, których najwyższą wspaniałomyślnością względem podróżnych jest — jak naiwnie donosi jedno z pism — „powrót zapewniony wieczorem dla tych, którzy wyjeżdżają rano." Mam błogą nadzieję, że jeśli p. Rogoziński zbuduje kolej w swej „przybranej ojczyźnie," mieszkańcy Liberyi będą korzystali z większych ułatwień w podróży, niż my. Od Warszawy do Nowego Dworu i Nałęczowa na jednej linii i od Warszawy do Mrozów na drugiej wyciągnęły się szeregi domków letnich, które przez kilka miesięcy wywołują ruch paru tysięcy osób. Śród tych ludzi są biedni, są niezamożni, są uposażeni skromnie, którzy ledwie raz na tydzień odwiedzają swe rodziny z powodu drogich biletów, a którzy pozwalaliby sobie tej przyjemności częściej, gdyby były tańsze. Nigdy nie zapomnę pewnego nauczyciela gimnazyum, który codziennie chodził z Warszawy do Płudów (milę drogi) pieszo, bo nie mógł płacić zwykłej taksy kolejowej, *nb.* pobieranej za przestrzeń dwa razy większą — do Jabłonny. Krótko mówiąc, jest to zdzierstwo, wyzysk i oburzające lekceważenie interesów ogółu. Jeżeli w całej Europie drogi żelazne sprzedają bilety po zniżonej cenie na odległości bardzo wielkie, bo obejmujące kilka krajów, jeżeli u nas Wiedeńska i Petersburska naśladują zagranicę, konserwatyzmu Terespolskiej i Nadwiślańskiej inaczej wytłomaczyć niepodobna, tylko niedbalstwem gospodarki z dochodem poręczonym. Niewątpliwie winna tu także prasa: część jej zamknęła sobie usta biletami wolnej jazdy i posadami przy drogach żelaznych, część gawroni się na sprawy dalsze, nie widząc bliższych, a część unika szczerej krytyki urządzeń społecznych.

Uwagi te są od lat wielu moją pieśnią wiosenną, która nie wywiera żadnego skutku. Nie spodziewam się go i tym razem, ale to mnie wcale nie zniechęci do rzucenia grochu na ścianę w roku następnym i dopóty, aż on ją z mojej, czy cudzej ręki przebije.

Po burzy już dowiedziałem się, że nad koleją Warszawsko-Wiedeńską wisiała chmura, rozdzierana błyskawicami groźnemi. Obawiano się zmian ważnych na zebraniu akcyonaryuszów (1 czerwca), w znacznej części cudzoziemców. Tymczasem spadł tylko drobny deszczyk: belgowie zamiast ciskać pioruny na obecny zarząd, wyważyli z rady — niemca. Miał to być objaw niechęci politycznej, który przeszedł mimo naszych interesów, musnąwszy jedynie nasze uczucia dość sympatycznie.

Daleko łatwiej z Brukselli lub Amsterdamu przyjechać do Warszawy na narady, niż w Warszawie przyjść z jednej ulicy na drugą. Jeszcze raz więc powtórzył się nieśmiertelny i niezmienny widok naszego życia — uczestnicy spółki owczarskiej nie przybyli w należytym komplecie i zebranie spełzło na niczem. Po tylu niepoliczonych zebraniach, które doznały podobnego losu, po świeżym wypadku spółki wywozu mięsa za granicę, owczarska nie ma prawa skarżyć się na zawód, tem bardziej, że jego gorzkiemi kroplami karmiono ją od kolebki. Wychowała się w protokółach, stwierdzających brak przepisanej liczby członków, żyć musi w protokółach i umrze na protokóle. *Das ist bestimmt in Gottes Rath* — u nas inaczej być nie może, naiwny tylko dziwi się lub gniewa, rozumny powiada: jesteśmy ciągle sobą...

I zebranie uczestników spółki pszczelarskiej nie doszło do ładu. Tu już przeszkodził nie brak członków, ale drugi klejnot naszych sejmików, występujący tam, gdzie je przypadek zgromadzi, umiejętność ciągnienia wozu w najrozmaitsze strony, ażeby się z miejsca nie ruszył. I nie ruszył się: jeszcze raz wykazano p. Lewickiemu, że gospodaruje niesumiennie i nieudolnie, jeszcze raz postanowiono sprawdzić rachunki, jeszcze raz obarczono tem zadaniem komisyę, jeszcze raz wyznaczono termin a biedne Muzeum pszczelnicze jak nie miało gruntu pod stopami, tak go niema i nie wie, czy za miesiąc nie zamieni się na teatrzyk ogródkowy. Ks. Jakubowski, który je najzawzięciej ostrzeliwał, rzucił nową bombę w *Wieku*, poturbowawszy przytem mocno obrońców p. Lewickiego. Argumentami niewiele by im zaszkodził, ale jak ich ugodził tytułem „członka Wolno-ekonomicznego Towarzystwa," chyba niebezpiecznie omdleli. W zakończeniu swego kazania powiada: „Pisma pozytywne zarzucają księżom obojętność na sprawy społeczne, a jednakże, jeśli się który z nich odezwie, to krzyczą znowu, że duchowni w nieswoje rzeczy się wdają i lada reporter, przyoblekłszy się w śmieszną powagę" — itd. Szan. członek Wolno-ekonomicznego Towarzystwa zgrzeszył aż dwa razy przeciw przykazaniu o fałszywych świadectwach, gdyż 1) „pisma pozytywne" zarzucają księżom nie „obojętność na sprawy społeczne," ale „wtrącanie się w nieswoje rzeczy" i 2) nie mają one wcale „reporterów," hodowanych i używanych jedynie w prasie codziennej, która żadnego organu „pozytywnego" nie posiada. Szanowny przeto członek itd. dalej odbiegł od prawdy z temi twierdzeniami, niż Prószyński z miodem rzezodowym.

Zanosiło się również na maleńką rewolucyjkę w gminie izraelskiej, gdzie konserwatyści chcieli wytworzyć ministeryum jednolite, własne. Ale żydzi, jak żydzi, pokrzyczeli trochę i wybrali sobie zarząd w połowie zachowawczy, w połowie postępowy, pozostawiając przewodnictwo w dotychczasowych rękach. Na samą myśl, że my chrześcianie zaczęlibyśmy zlepiać zarząd gminy — drętwieję ze strachu. Tożby było ciąganie się za czuby przez lat kilka! Gdybym był Herkulesem i zadano mi tę robotę, odrzekłbym: zabiję lwa nemejskiego, oczyszczę stajnię Augiaszową, przywiodę Cerbera z piekła, wykonam najtrudniejsze prace, ale tej— nie, nie... Już wolę uporządkować Muzeum pszczelnicze...

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Coroczne wystawy inwentarza. — Kto na nich korzysta, a kto traci. — Rady p. Węgleńskiego w *Wieku*. — Co się stało z projektowanym tattersalem w Lublinie. — Co nas zajmuje i zapala. — Piękne uwagi p. Niemojowskiego. — Włościanie — szkodnicy. — Myśl i sposoby rozpowszechniania ogrodnictwa śród ludu. — Ktoby w tem najskuteczniej dopomógł. — Chłopomanka antychłopka. — Okradanie potępiane i tolerowane. — Chłopskie serca.

Zbliża się sezon wystawy inwentarza. Wkrótce *Kuryery* doniosą o „twarzach ogorzałych" na bruku warszawskim i posypią humorystyczne anegdotki o przygodach naiwnych wieśniaków z kokotkami. Znaczna część prawdy w tem bywa i to bodaj najujemniejsza strona wystawy, przeklinanej przez „fryców," których piękno damy, przypadkiem spotkane w Botanicznym i Saskim ogrodzie pasowały na świętych tureckich. Nie dziw, jeśli z tej kategoryi ludzi powstają zniechęceni do wystaw; ale smutniejszem świadectwem dla komitetów wystawowych i wystawców są coraz liczniejsi przeciwnicy, opierający swe dowodzenia na ważnych przyczynach ogólnej natury. Długo niezadowolenie to chodziło po ludziach prywatnie, dziś się zaczyna przedzierać do prasy. P. Tadeusz Węgleński w *Wieku* wyraża swoją wątpliwość, czy wystawy nasze mogą być środkiem dopomagającym do wybicia się drobnego rolnictwa i przemysłu na szerszą widownię? Nie będą one współzawodniczyć w Warszawie na placu Ujazdowskim z większymi zapaśnikami z przyczyn: niezamożności odpowiedniej, nieznajomości dokładnej stosunków handlowych, dla braku dobrych komunikacyj, dla obawy strat, które podróż może za sobą pociągnąć, pochłonąwszy zyski wystawowe. „Tylko firmy znane w kraju — utrzymuje autor — i mające ustaloną reputacyę, znaleźć mogą odbyt na wystawie, jako na targu handlowym. Drobny rolnik zginie śród tłumu, to samo stanie się i z drobnym przemysłem." Przebieg roczny, dwuletni, a nawet czteroletni — twierdzi dalej p. W. — w rozwoju gospodarstwa i hodowli inwentarza przedstawia różnice prawie niedostrzegalne. Sumienna, ciągła i rzetelna praca w jednym kierunku hodowli, może dopiero po kilku latach uwidocznić strony dodatnie i ujemne. Trudno więc corocznie patrząc na jednakowo wyprodukowane figury, uwzględniać postępy lub zboczenia, „tem więcej, że zapatrujemy się zawsze przez te same okulary, a pewien rodzaj monopolu jest w modzie." Dla własności większej sposób obecnie praktykowany przedstawia możność zbytu, ale tylko jednorazowo. O ile słuszne są powyższe uwagi p. Węgleńskiego, gołosłowne dowodzenia nie wykażą. Jedna zaś jego rada bezwarunkowo godna uznania. Jest to myśl corocznych wystaw gubernialnych i powiatowych. Istotnie drobny rolnik i przemysłowiec znalcźliby się w swoim żywiole, a publiczność, kto wie, czy z czasem nie spieszyłaby tam z wielkiem zajęciem, pomimo nieobecności orkiestry i... kolei elektrycznej. P. W. przypuszcza, że urządzenie rodzaju tattersalu, jaki jest dla koni, mogłoby dla hodowców przynieść nierównie więcej korzyści, niż wystawy. Niedawno dochodziły mię wieści z Lublina o wielkim zapale tamtejszych obywateli w kierunku ulepszenia rasy inwentarza, przeważnie koni, zabrano się nawet już „na dobre" do urządzenia tattersalu, ale... zabrzęczała mucha figlarka w ich gronie; rajcowie myśleli, że to osa i poszli w rozsypkę. Za to gdzie chodzi o modne popisy, nie zastraszą nawet i szerszenie. Dreszczem nerwowym wstrząsani, z biciem serca będziemy się przyglądać, czekając, czy rumak hrabiego X. pierwej stanie u mety, niż hrabiego Y., lub któremu z nich rozeprze boki, a który najwyższą nagrodę otrzyma. W takich chwilach nawet uderzenie kopytem w ciemię nie ostudziłoby z gorącego zaintersowania się tak doniosłemi sprawami.

P. Niemojowski, specyalny bajarz w *Kaliszaninie* na temat małp i teoryj Darwina (o tych ostatnich ma tyle pojęcia, co to pierwsze), raz przecież wypowiedział bardzo pięknie to, co istotnie jest właściwe dla pisma prowincyonalnego, chociaż i tu istnieje pewien związek z jego ulubionym konikiem, bo — rzecz o naszych małpich popędach. Donosząc o widokach świetnego powodzenia zabawy pożyczonej od synów mglistego Albionu, wskazuje mimochodem na nasze niwy: rasa koni roboczych upada, pola uprawiane bronowłókami nie dają spodziewanych dochodów, jarmarki odznaczają się niedostatkiem rolnego inwentarza, o konie pociągowe nikt się dopytać nie zdoła, włościańskie chudki maleją do mikroskopijnych rozmiarów. Ale za to posiadamy w kraju kilkanaście wyścigowców, sprowadzonych z nad brzegów Tamizy i obsługiwanych przez Jams'ów, Jack'ów,

John'ów, o podwójnie wyższych pensyach, niż otrzymują najpracowitsi z naszych oficyalistów.

Z przykrością się dowiaduję o dzikich popędach ludu w wielu miejscowościach. W Płockiem niektórzy właściciele ziemscy mają chwalebny zwyczaj sadzenia drzewek przy drogach, ale, niestety, praca ich idzie na marne. Podróżni w siermiędze, zapominając, że drzewka w porze zimowej za przewodnika im służyły, latem łamią je na patyk jakiś w rękę, rózgę do popędzania koni lub poprostu na zabawkę dla urozmaicenia czasu w drodze. *Korespondent płocki* opowiada, iż w okolicach wyszogrodzkich właściciel ziemski wysadził drogę po obu stronach z Nakwasina do Święcic pięknemi, wyrosłemi już drzewkami. Po trzech latach nie pozostało ani jednego! To samo prawie w innych miejscach. Te smutne fakty podały myśl korespondentowi organu płockiego zaprojektowania na zebraniu gminnem nauczania dzieci w szkole teoryi ogrodnictwa, założenia szkółki drzewnej, koniecznej dla praktyki przy nauce i urządzania sadów lub obsadzania dróg drzewkami owocowemi z tejże szkółki. Z powodu opuszczenia stron płockich, autor swego projektu nie mógł urzeczywistnić. Natomiast odwołuje się z tem do ziemian tamtejszych. Przedewszystkiem radzi wzbudzić w dzieciach zamiłowanie do hodowli drzewek i ich pielęgnowania. Do tego wypadła powołać miejscowego nauczyciela; powinien on przytem objąć wykład teoryi ogrodnictwa. Bardzo to piękne, ale czy tylko każdy taki nauczyciel zechce wprzód sam się wyuczyć teoryi. Praktyczne zajęcia inicyator porucza ogrodnikom z pobliskich dworów „za zezwoleniem ich chlebodawców.“ Z nauki ogrodnictwa mają korzystać chłopcy i dziewczęta. Ostatnie, jako przyszłe gospodynie, mogłyby mieć sobie wydzielone grządki, na których by każda oddzielnie uprawiała warzywa i kwiaty. Wszystkie mniejsze roboty w szkółce dzieci same powinny odbywać. Do tego trzeba wydzierżawić kilkadziesiąt prętów odpowiedniej ziemi w pobliżu szkoły, dobrze ogrodzić, kawałek zregulować pod siewki; nawozu dostarczyć mogą gospodarze. Po trzech lub czterech latach każdy włościanin będzie mógł brać corocznie po kilkanaście uszlachetnionych drzewek do swego ogrodu bezpłatnie, a gdyby już tam miejsca nie starczyło — dodaje korespondent — sadzić bez obawy przy drogach i po miedzach, bo dzieci nauczone już poszanowania drzewek przez siebie pielęgnowanych, nietylko że od psucia się wstrzymają, lecz do ich wzrostu dopomagać będą. Projektodawca tak wierzy w uskutecznienie swego sympatycznego pomysłu, iż się nie waha wykrzyknąć: „za kilka lat i na miedzach, nie tylko w sadach, drzewa owocowe zobaczymy.“

Przykro mi ochładzać szlachetny zapał, ale muszę zwrócić uwagę na wiele przeszkód, które nie prędko dadzą projektowi wejść w życie. Najpierw: zachęta wypowiedziana za pośrednictwem pisma czytanego(?) przez bardzo szczupłą garstkę znudzonej bibułą, ociężałej szlachty, jest zmarnowaniem słów. Powtóre: czy się znajdzie pośród ziemian jeden na dziesięciu coby powiedział: „Dobra myśl, trzeba się do tego wziąć!“ Po trzecie: czy każdy nauczyciel wiejski, choćby się zdobył na jaki popularny podręcznik do ogrodnictwa, potrafi jeszcze przystępniej i w taki sposób wykładać teoryę, aby dzieci włościańskie mogły nabrać zamiłowania do rzeczy? Do tego zdaliby się wychowańcy byłej szkoły w Warszawie przy ogrodzie Pomologicznym, których większość porzuciła swoją specyalność i poszła na inne drogi dla chleba, bo szlachta nie chce i boi się jak dyabła „uczonych“ ogrodników. Mogłyby jeszcze daleko skuteczniej przyczynić się tej sprawie panny, córki obywatelskie, kwaśniejące z nudów i wyczekujące konkurentów z trzosami. Warszawskie Muzeum pszczelnicze, chociaż zachwiane chwilowo, jest obszerne i gościnne, przyjęłoby ono chętnie dziesiątki tych dziewic niezadowolonych ze świata i siebie. Pomijam wpływ zbawienny tego zajęcia na ich wolę papkowatą i wogóle stan psychiczny, ale kurs ogrodnictwa na Koszykach, łatwy do przejścia w krótkim czasie, zapełniłby pustkę życia dając pole do pożytecznego działania. Wypowiedziałem to wszystko w trybie idealnym. Zdaje mi się, że ta moja rada pozostanie także w krainach ideału, bo nasze nadobne „dzierlatki“ wiejskie, chociaż w wielu razach nie pozbawione dobrych chęci i uczuć altruistycznych, przynajmniej w głębi duszy trzymanych, łatwo się zrażają lada drobnostką. Oto znamienny przykład: córka obywatela ziemskiego gorliwie się opiekowała wsią swego ojca; udzielała ciemnym rad pożytecznych, odwiedzała chorych, darzyła ich pomocą moralną i materyalną, dopóki jedna z rekonwalescentek nie ukradła jej czegoś we dworze. Odtąd zaczęła pioruny ciskać na „chłopstwo,“ zerwała wszelkie stosunki z wsią, stała się zajadłą arystokratką-antychamką. Za niewielkie przewinienie jednej baby zostały dziesiątki niewinnych ukarane. Między szlachtą nie ma wprawdzie kradnących siano, drzewo, rzemień, koła itd.. ale za to są okradający swój kraj i... wierzycieli, którzy na ich zachwiane hypoteki oddają nieraz krwawo uciułany fundusz. *Kaliszanin* pisze: „Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, z powodu zaległości w opłacie rat, wystawia majątki na sprzedaż. Przy licytacyi zdarza się *prawie zawsze*, że spada ze swojemi sumami wielu wierzycieli, którzy częstokroć tracą skutkiem tego całe utrzymanie i oddają się na łaskę i niełaskę losu. Dotąd wypadki, że z powodu braku licytantów zmuszone było nabyć wieś Towarzystwo, należały do unikatów; dziś i to częściej się zdarza. Świeżo Towarzystwo objęło w posiadanie folwark Sobieski, o którego kupno nikt z wierzycieli nawet się nie pokusił. Różne na to składają się przyczyny, a głównie dewastacya majątków przez zadłużonych posiadaczy, powtarzająca się dość często.“ Owa panna, co przeklęła i wyrzekła się „chamów“ za skradzenie chustki, czy kury, nie wahałaby się szczerze uścisnąć ręki „obywatelowi“ *dewastującemu* swój majątek. To *chłopstwo* jednak ma serce i umie swymi uczynkami zajaśnieć nieraz jaśniej od „jasnych.“ Niedawno posiadłość ziemska p. X. pod Błaszkami (w Kaliskiem) miała uledz publicznej licytacyi za niedobory Towarzystwa Kredytowego. Ponieważ zalegały trzy raty, a zwolnienie z trzeciej nadeszło dopiero w przeddzień licytacyi, p. X. przedstawił włościanom swoje położenie. Ci energicznie wzięli się do składek i natychmiast zebrali sumę brakującą.

Drogomir.

NOWE PRAWO LEŚNE.

(Dokończenie).

1) Działanie przepisów rozciąga się na wszystkie lasy skarbowe, koronne, publiczne i prywatne. 2) Środki celem ochrony lasów dzielą się na: a) chroniające lasy od wyniszczenia i b) popierające rozwój lasów sztucznem zadrzewianiem. 3) Lasy dzielą się na dwie kategorye: do 1-ej należą ulegające przymusowej ochronie, czyli „bronione“ (zaszczytnyje); lasy i zarośla: a) powstrzymujące piaski sypkie, b) chroniące od zasypywania piaskiem: rzeki, miasta, planty kolejowe, trakty kolejowe, grunty orne i t. p.; c) chroniące brzegi rzek od uszkodzeń, obrywania się gruntu itd. i d) powstrzymujące obrywanie się skał, spadanie lawin, tworzenie się bystrych potoków górskich itd. 4) Środki ustanowione dla lasów I-ej kat. mogą być stosowane tylko po zaliczeniu do tej kategoryi; do I-ej mogą być zaliczone całe lasy, lub tylko ich części. 5) Po uznaniu lasu za należący do I-ej kategoryi wzbronionem jest zmienianie go na inny rodzaj użytku i do czasu zatwierdzenia planu gospodarstwa leśnego, nie można w nim ciąć drzewa. Zbierać suche gałęzie wolno. 6) Plany gospodarstw w lasach I-ej kategoryi mogą zabraniać: a) wycinania większych przestrzeni, z prawem wyrębu stopniowego pod warunkiem zalesienia wyciętej przestrzeni; b) karczowanie pni i korzeni, jeżeli na to nie pozwala rodzaj gleby, lub jeśli pnie i korzenie potrzebne są do nowego zalesienia i c) urządzania pastwisk, o ile te mogą niszczyć las. Ograniczenia te nie naruszają praw włościan w Królestwie Polskiem do przyznanych im służebności. 7) Właściciele lasów I-ej kat., z wyjątkiem jeśli nimi są skarb lub urząd koronny, nie mogą być zobowiązani do nakładów, o ile się na to nie zgodzą. W lasach wspólnych, spornych, pozostających w czasowym zarządzie skarbu itp., wszelkie nakłady przyjmuje skarb na swój rachunek. 8) W razie gdyby właściciele lasów I-ej kategoryi nie zgodzili się na przeprowadzenie melioracyj uznanych za niezbędne, ministeryum dóbr państwa ma prawo nabyć las na rzecz skarbu według taksy o wywłaszczeniu. Właściciele mają prawo odkupu lasu w ciągu lat 10 za zwrotem kosztu wykonanych robót i spłatą sumy równej tej, za którą las nabyto, oraz 6% za każdy rok od obu sum. 9) Wszystkie koszty sprzedania planów gospodarstw leśnych przyjmuje na siebie skarb. 10) W lasach II-ej kat. zmienianie przestrzeni na inne użytki może być dozwolone tylko w następujących wypadkach: a) kiedy wymaga tego dobro majątku; b) w razie urządzania winnic, plantacyj owocowych, pod czasowe użytki rolne z warunkiem następnego zalesienia tych przestrzeni; c) w razie potrzeby zaokrąglenia granic, przedłużenia dróg i wzniesienia budowli; d) przy rozgraniczaniu; e) w celu usunięcia t. zw. „szachownicy“; f) w razie zalesienia innych przestrzeni, jeżeli drzewa na nich dosięgły trzyletniego wzrostu; g) w sztucznie wyhodowanym lesie, po 20 latach od zasiania, jeżeli zalesiona przestrzeń nie pokrywała wyciętej. 12) Właściciel, pragnący wyrąbać przestrzeń leśną w warunkach przewidzianych w poprzednim paragrafie, winien uwiadomić o tem komitet z wymienieniem motywów. Jeżeli w ciągu sześciu miesięcy ze strony komitetu nie nadejdzie zakaz, właściciel może się uważać za uprawnionego do cięcia. 13) W lasach wymienionych w art. 10 zabronione są wszelkie cięcia, niszczące las i zamieniające w pustki. Wzbronione również urządzanie pastwisk na wyrębach i w lesie niemającym lat 15. 14) Jako niszczące w lasach II-ej kategoryi nie może być uważane cięcie objęte planem. Właściciele mają prawo sprzedać takie plany i przedstawiać do zatwierdzenia komitetów leśnych. Po zatwierdzeniu właściciel podlega tylko ograniczeniom, zawartym w planie. Jeżeli w ciągu roku ze strony komitetu nie nadejdzie ani odmowa, ani zatwierdzenie planu, właściciel ma prawo uważać plan za zatwierdzony. 15) Właściciele, w razie przekroczenia przepisów zawartych w art. 5, 11 i 12, oraz przekroczenia plenipotencyj objętych planem, obowiązani są sztucznie zalesić wycięte nieprawidłowo przestrzenie w terminie z góry określonym. Inaczej — dokonywa tego sam komitet. 16) Obowiązki właścicieli rozciągają sie na rządców i administratorów.

Inne środki: 17) Wszystkie lasy I-ej kat. uwolnione są od wszelkich podatków państwowych i gminnych. Z tej samej ulgi korzystają przestrzenie sztucznie zalesione, jeżeli w zamian za nie nie cięto lasu. 18) Departament leśny wybiera najdoświadczeńszych rewizorów, którzy na żądanie właścicieli mają oglądać lasy, udzielać rad, kierować robotami. Noszą oni nazwę rewizorów-instruktorów. 19) Strażom w lasach prywatnych i włościańskich wydawane będą za gorliwą służbę medale, listy pochwalne i nagrody pieniężne. 20) Komitety leśne mogą również przedstawiać do honorowych nagród najzdolniejszych administratorów prywatnych.

Sporządzanie planów gospodarstw w lasach I-ej kategoryi musi być ukończone: a) jeśli las zaliczono do I-ej kat. na początku roku — do 13 marca b. r.; b) jeśli zaś to nastąpiło po 13 marca — do końca tegoż roku. Plan winien być przedstawiony właścicielowi, który ma prawo wystąpić z apelacyą do komitetu. Osoby prywatne i instytucye, w razie naruszenia ich praw przez rozporządzenia komitetu, mogą zwracać się ze skargami przez ten komitet do ministra dóbr państwa. Komitet przesyła skargi w ciągu dwóch tygodni ministrowi, który rozstrzyga kwestye sporne w porozumieniu z ministrami spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Do obowiązków do

zorców leśnych zalicza się: czuwanie nad wykonaniem przepisów i pociąganie winnych do odpowiedzialności. Dozorcy mają prawo w każdym czasie zwiedzać las, lecz wówczas nie powinni mieć przy sobie broni. Powyższe przepisy zatwierdzono 16 kwietnia r. b.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Ministeryum oświecenia nakazało kuratorowi dorpackiego okręgu naukowego przyjmować nadal do wszechnicy dorpackiej na wydział farmaceutyczny nie więcej nad 5% żydów.

— *St. Pet. Herold* donosi, iż w drugim instytucie nauczycielskim w Dorpacie wykład języka niemieckiego zastąpiony być ma cerkiewno-słowiańskim.

— Przy radzie pedagogicznej seminaryum nauczycielskiego w Białej, z polecenia kuratora okręgu warszawskiego utworzono komisyę egzaminacyjną dla kandydatów, chcących korzystać z przywilejów przy pełnieniu powinności wojskowej. Egzaminy ze znajomości nauk w zakresie szkół elementarnych odbywać się tam będą 28 i 29 czerwca.

W teatrze Wielkim trupa artystów ruskich rozpoczęła przedstawienia d. 6 b. m. utworami: „Fofan," komedyą w 3 aktach i „Pskowianka," Meja.

Konkursy. W redakcyi *Głosu* złożono kwit banku handlowego na 200 rs., wystawiony na imię p. Karłowicza z celem ogłoszenia konkursu na powiastkę dla ludu, historyczną lub obywatelską, z kierunkiem obywatelsko-społecznym. Za dwie najlepsze powiastki dwie nagrody: po 100 rs. przy równej wartości utworów, lub jedna 120, druga 80 rs. przy wartości nierównej, poczem bez osobnego wynagrodzenia będą jednorazowo wydane w Warszawie. Termin upływa z d. 1 stycznia 1889 r.

— Konkurs *Gazety rolniczej* z r. 1886 rozstrzygnięto. Nagrodę 300 rs. przyznano pracy z dewizą: „Nil conscire sibi." Autorem jej jest p. Jan Roztworowski, radca dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa kredytowego ziemsk. w Siedlcach, właściciel dóbr Zawadówka.

Tyfus plamisty szerzy się od miesiąca w osadzie Czyszków (pow. garwoliński) skutkiem wylewów wiosennych.

Zapałki. Ogłoszono następującą uchwałę komitetu ministrów: Zezwolić na sprzedaż w ciągu trzech miesięcy, poczynając od 1 (13) czerwca r. b. zapasów zapałek na składach, bez nałożenia na nie banderoli, z warunkiem, iżby w składach, gdzie jest ów towar, od którego przypada do poboru akcyzy nie więcej niż 500 rs., zapłacono podatek do 1 (13) czerwca. Składy, gdzie jest zapałek tyle, iż od nich przypada do ściągnięcia więcej niż 500 rs. i gdzie urzędnicy akcyzy unormowali pobór na taką sumę, zapasy zapałek przechodzą pod nadzór akcyzny i podatek będzie ściągany w miarę wypuszczania towaru ze składu. Na zapałki wypuszczone bez uprzedniego pobrania akcyzy, będzie nakładany stempel. Począwszy od 1 (13) września, od wszystkich w handlach zapałek, z wyjątkiem pozostałych pod nadzorem władz akcyznych i wypuszczanych bez stempla, będzie ściągana akcyza nie wedle ilości paczek, lecz wedle rzeczywistej ilości zapałek, mianowicie $^1/_4$ k. od 75 sztuk.

Z Poznania donoszą, iż hr. Jadwiga Mycielska sprzedała komisyi kolonizacyjnej dobra swe Niedźwiady w pow. wągrowieckim, obejmujące 1,500 hektarów przestrzeni, za 600,000 marek.

Otwarto 1 b. m. połączenie drogi Dąbrowskiej z kolejami austryackiemi przez nową odnogę, przeprowadzoną do stacyi Granica.

Znaczne oszustwo popełniono w Rzymie, w klerykalnem stowarzyszeniu „Sacra familia." Brakująca suma dochodzi do 150,000 lirów. Cały zarząd podał się do dymisyi; 19 osób skompromitowanych. Sprawa ta miała być zatajoną, ale odkryły ją pisma radykalne, skutkiem czego w kołach klerykalnych panuje wielkie wzburzenie.

W Wilnie Towarzystwo wyścigów konnych urządza wystawę rolniczą z działem przemysłu drobnego, z pozakonkursowym działem przemysłu wielkiego. Będzie otwarta od 27 sierpnia do 7 września b. r. Szczegółowych objaśnień udziela p. Cieślak, sekretarz Towarzystwa, mieszkający w Wilnie w domu Römera.

W Montreal nastąpił wybuch gazometru. Zabitych 7 osób, ranionych 30.

Prasa włoska, według *Piccola*, jest w ciężkiem położeniu. Na 30 milionów przeszło ludności Włoch, zaledwie 1,500,000 czytuje gazety, z tych tylko 700,000 opłacają prenumeratę lub kupują od czasu do czasu pojedyncze numery. Publiczność włoska wymaga pism tanich i dobrze redagowanych, a nie poczuwa się do obowiązku zapewnienia im bytu. Z wyjątkiem kilku organów poczytniejszych, inne prowadzą nędzny żywot. Corocznie upada kilka lub kilkanaście pism dla braku poparcia.

W Berlinie wielkie rusztowanie, zajmujące całą scenę przebudowywanego obecnie królewskiego „Schauspielhausu" runęło, grzebiąc pod gruzami 14 robotników. Jeden zginął na miejscu; pozostałych wydobyto ciężko poranionych i odwieziono do kliniki królewskiej.

Nazwa Ameryki według najnowszych badań nie pochodzi, jak dotąd mniemano, od nazwiska podróżnika Amerigo Vespucci. Gdy on bowiem w r. 1499 przybył na wyspy zachodnio-indyjskie, istniał już w języku miejscowym wyraz *Amerrik*, czyli *Amerique*, który w mowie montaksów i magasów znaczy „kraina wiatrów." Nadto Vespucci, który był rodem z Florencyi, nie miał nigdy na imię Amerigo, tylko Alberigo, czyli Albert. Zmienił je później dowolnie na „Amerigo." Szczegóły te podaje w swej książce geologicznej Juliusz Marion z Besançon. *Los Ameriques* był według niego szczep indyjski, zamieszkały w Ameryce środkowej, w kraju obfitującym w złoto.

Sprostowanie. W sielance „Jurgis Durnialis," w nr. 18, str. 207, w. 15, zam. *sznopą*, winno być *szurpą*; w nr. 21, str. 242, w. 10, zam. Panksztinisa — Paukszinisa; str. 243, w. 23, zam. *powiałki* — *powiatki*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Мая 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.